Cena niniejszego numeru 80 gr. Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem.

Rok X. Warszawa, lipiec-sierpień 1929 r. Nr. 18-20.

Numer poświęcony IV Drużynie Bydgoskiej.



HARCERZ

TYGODNIK MŁODZIEŻY HARCERSKIEJ

Z. DZIEKOŃSKI.

O nasze sztandary.

Kto zwiedzał Muzeum Wojska w Warszawie i widział umieszczone tam dawnej chwały oręża polskiego widome znaki, sztandary nieistniejących już dawno formacyj, to musi sobie przedstawić, jak były czczone te skrawki atłasu z wyhaftowanemi herbami, kiedy przetrwały straszne chwile moskiewskiej, Napoleona wyprawy, czy momenty strasznych klęsk powstaniowych.

Sztandar dla żołnierza jest uosobieniem jego pułkowej jedni, jest symbolem rycerskiego honoru i poświęcenia, drogowskazem w jego dziele obrony ojczyzny.

Nic też dziwnego, że jest on czczony przez wszystkich niezmiernie.

Przynajmniej wygląda to tak w teorji. Praktyka w naszych czasach nieraz dość rażąco od tego odstępuje.

Rzadko kiedy widzi się, że ktoś odkryje głowę przed znakiem pułkowym. Nie rozumie się i nie docenia wartości tego symbolu.

Ale, że w ten sposób postąpi sobie jakiś zwykły śmiertelnik to jeszcze można wybaczyć — nie wiedział — nikt mu tego nie wytłumaczył — sam domyślny nazbyt nie jest. Gorzej sprawa się przedstawia, gdy mamy do czynienia z harcerzem, który w zastępie i drużynie powinien dostać potrzebny zapas w tej dziedzinie wiadomości.

Przecież gdzie jak gdzie, ale w harcerstwie najbardziej powinien kwitnąć kult godeł państwowych i narodowych barw, kto jak kto, ale harcerz powinien się prężyć przed łopocącym na niebie na karmazynowym tle Białym Ptakiem...

I tutaj znów wielka przepaść między teorją a praktyką. Może jest lepiej—zapyta ktoś—gdy chodzi o nasze sztandary drużyn i chorągwi? Może tutaj zrozumienie i poszanowanie naszych organizacyjnych godeł jest większe ze względu na to, że chłopcy częściej mają z nimi do czynienia, a więc i lepiej zachować się umieją.

Jako odpowiedź w tej kwestji przytoczę jeden z licznych zaobserwowanych przeze mnie faktów.

Była uroczystość złożenia wieńca ku czci zmarłego marszałka Focha pod pomnikiem Ks. J. Poniatowskiego w Warszawie. Przez ulice stolicy szedł korowód sztandarów wyższych uczelni i wielu organizacyj akademickich a między innemi sztandar harcerskiej drużyny akademickiej. Poczet sztandarowy składał się z trzech harcerzy w mundurach.

Ja szedłem w poczcie innej organizacji ale idąc tuż koło proporca harcerskiego, miałem możność obserwować, jak harcerze będą się w stosunku do swego znaku zachowywać.

Najpierw spotkaliśmy kilku harcerzy, ale nie w mundurach. Ci „oczywiście" nie uchylili nawet czapek.

Na rogu Marszałkowskiej stało trzech malutkich harcerzyków. Jeden w mundurze dwaj inni po cywilnemu. Gdy zauważyli sztandar stuknęli się nawzajem i pozdrowili go, chociaż w sposób dość oryginalny. Jegomoście „cywilni" salutowali a jegomość w mundurze zdjął czapkę.

Jak umieli tak zrobili—pocieszałem się—zawsze lepiej to niż obojętna mina i całkiem „negatywne" stanowisko, jak u dotychczas spotykanych.

W dalszej jednak drodze sposobności do obserwacji było więcej.

Na Nowym Świecie spotykamy młodzieńca w mundurze i z oznakami, ciekawie przyglądającego się pochodowi. Rzecz jasna o pozdrowieniu sztandarów Uniwersytetu, Politechniki czy innych wyższych szkół nie myśli. Nagle zauważył proporzec harcerski. Sekunda wahania i... wdzięczne pochylenie się ku bucikowi dla poprawienia nagle rozluźnionego sznurowadła. Po chwili powrót do normalnej pozycji i dalsza obserwacja chorągwi organizacyj i korporacyj akademickich.

Dalej na Krakowskiem Przedmieściu mijamy jadących na platformie tramwaju trzech harcerzy w mundurach—starszych chłopców—żaden z nich nie zrobił nawet najmniejszego ruchu dla salutowania przechodzącego sztandaru.

Po tym przemarszu wróciłem do domu przygnębiony.

Tyloletnią przecież już mamy w tej mierze za sobą tradycję, tak piękną kartę w historji naszego Narodu zapisały nasze harcerskie sztandary — a tak mało dla nich mamy czci i szacunku.

Pocieszam się tylko jedną myślą, że dużo w tym względzie będzie nas wszystkich mógł nauczyć Zlot Narodowy w Poznaniu i Jambore.

Wtedy, gdy będziemy widzieli, że najgłówniejszym momentem dnia obozowego, momentu, na który w skupieniu czeka kilka czy jak na Jambo kilkadziesiąt tysięcy ludzi — jest podniesienie na maszt narodowej flagi—może wtedy poczujemy większą dla niej cześć.

Sztandar drużyny, hufca czy chorągwi bę-

dzie na Zlocie tem co te jednostki spaja i do zwycięstwa w zawodach prowadzi — na Jamboree biało-czerwona wstęga symbolem naszej polskości i jedności. Dlatego też może oba te harcerskie wydarzenia tegoroczne nauczą nas czcić i kochać zarówno narodowe jak i organizacyjne godła i pomogą wszystkim zrozumieć, że zarówno ta barwna materja jak i inny w specjalny sposób wyrażony znak — to tylko symbole wyższych i głębszych idei.

M. E. KAZIMIEROWICZ

Pieśń.

Harcerzu! Lot—niech będzie orła lotem,
Pacierz — płomieni niech będzie
[wytryskiem,
Słowo—sztandarów na wietrze łopotem,
Pieśń—krwawą łuną nad serca ogniskiem,
Myśl każda — słońcem niechaj będzie
[złotem,
Rytmy — tętentem, a rym każdy —
[błyskiem,
Hymn każdy niechaj będzie, jak pożoga,
I taki Polski pełen—jak świat Boga.

(*K. Makuszyński* — „Do Harcerza")

Wielki jest wpływ melodji na duszę ludzką. Nieraz widzieliście jak po prześpiewaniu paru piosenek rozchmurzają się najbardziej ponure oblicza i humor znów pomiędzy śpiewaków wraca.

Śpiewając jakąś podniosłą pieśń, czuliście jak głębszy oddech rozszerza wasze piersi, a serce uderza coraz mocniej i mocniej. Czuliście wtedy jak dusza wasza rośnie, napełnia się dumą, zdolna się staje do największego poświęcenia i pełna jest bohaterstwa, lub miłości ku wszystkiemu co żyje, czy też tęskonoty za czemś wzniosłem, doskonałem, niecodziennem.

Uczucia takie podnoszą i uszlachetniają duszę ludzką i są nieraz środkiem daleko silniejszym niż najlepsze gawędy — i nawet nie przesadzę, jeśli powiem, że są niezastąpionym środkiem w kształceniu siły ducha. Wychowanie człowieka nie polega wyłącznie na kształceniu umysłu i nasycaniu się mądrością — bowiem niezawsze czyny ludzkie powstają pod wpływem rozumu, ale daleko częściej pod wpływem uczucia, nagłej konieczności czy natchnienia.

Melodja czyni duszę łagodniejszą, budzi w niej miłość do piękna i choć często może porywać i podniecać, to jednak przeważnie działa i uspokajająco.

Wpływ pieśni, na duszę ludzką jest rozmaity i należy go umiejętnie stosować. Są pieśni radosne i wesołe, są i smutne, z których sączy się do duszy ból; są swawolne, beztroskie, — są i poważne hymny, które człowieka na baczność podrywają — i są do czynu porywające pobudki, co w człowieku nerw każdy prężą—a są też inne, które przed słuchaczem nieznane ogrody mistyczne ukazują i w jakieś nieznane krainy piękna i wieczystych tęsknot je prowadzą,—wszystko zależnie od tego, z jaką myślą pieśniarz je tworzył. Każda bowiem pieśń zawiera w sobie taką sumę uczuć, jaką autor w nią włożył — a wykonawca, odtwarzając ją, odtwarza w sobie ten sam stan duchowy. Stąd pochodzi ów potężny wpływ pieśni.

Przeprowadzając zatem śpiew w drużynie czy zastępie, należy uważać na dobór piosenek; jeśli się macie uczyć nowych piosenek, to już przedewszystkiem wartościowych. Następnie zważać należy, żeby po każdej poważnej gawędzie, czy też jakiejś podniosłej czynności, śpiewać również rzeczy odpowiednio podniosłe — nie zaś, jak to się często zdarza, swawolne i błazeńskie. Tak samo nie zestawiać pieśni poważnych z błahemi, a przedewszystkiem nie śpiewać nigdy tych ostatnich bezpośrednio przed hymnem harcerskim „Rotą"— po „Rocie" zaś nic już bezwzględnie śpiewać nie wolno.

Należy również zwracać uwagę i na wykonanie piosenek. Gdy zastęp śpiewa, to niech już śpiewają wszyscy bez wyjątku — jeśli bowiem nawet w rzeczach takiej małej wagi, jak śpiew, nie będzie w nas jedności, to trudno wymagać jej w rzeczach wielkich. Wtedy tylko czuć będziemy zwartość naszej organizacji, wtedy tylko będzie „jedno w nas serca bicie, jedna oddechu miara"—gdy słowa pieśni będą powtarzać bez wyjątku wszyscy. Wtedy tylko w marszu pierzchnie zmęczenie, jeśli z piersi wszystkich jednocześnie buchnie beztroskie: „Raduje się serce". Wtedy tylko w nieszczęściu podniosą się czoła, gdy wszyscy pełną piersią zaśpiewają: „Choć burza huczy wkoło nas". A gdy w jakąś uroczystość czy też w godzinę klęski wszyscy bez wyjątku zaprzysięgną „Rotę", możemy być pewni, iż „twierdzą nam będzie każdy próg" i Bóg nam dopomoże.

Dzieje Czwórki Bydgoskiej.

Początki Czwórki datują się od czasów niewoli pod zaborem pruskim. Założona 22 czerwca 1919 roku przez dha Wincentego Gordona, główny nacisk kładła w swych początkach na zrzucenie nalotów niemieckich, a więc uczono się poprawności mowy ojczystej, literatury, poznawano historję narodu. Na drugim planie było harcowanie, nierozwinięte zbyt silnie z powodu małej liczebności, część bowiem drużyny przekradła się do armji polskiej. Nastały gorące dni walki z Niemcami, aż wreszcie w styczniu wojska polskie wkroczyły do Bydgoszczy. Czwartacy zajmują domy niemieckie i odbierają broń Niemieckiemu Przysposobieniu Wojskowemu.

Powoli drużyna nasza — w założeniu rzemieślnicza — przekształcała się na szkolną, przyjmując coraz większe zastępy młodzieży szkół i gimnazjów. Nakoniec po roku istnienia otrzymała siedzibę w Gimnazjum Humanistycznem. Ożywioną działalność zreorganizowanej drużyny (wycieczki, zlot w Kórniku, przyrzeczenie kilkunastu harcerzy, założenie sklepiku harcerskiego i bibljoteki) przerwał najazd bolszewicki. Kilkunastu starszych Czwartaków wstąpiło w lipcu do Armji Ochotnicznej, reszta drużyny oddała się na służbę Czerwonemu Krzyżowi, pełniąc zarazem złużbę wywiadowczą w przenoszeniu rozkazów Zachodniej Straży.

Sierpień 1920 roku zadał klęskę najeźdźcy. Po powrocie Czwartaków z frontu, ogarnął całą drużynę zapał do pracy i wcielenia w życie wskazań harcerskich. Liczba chłopców osiągnęła cyfrę 92. Komendę objąłdh Jossé Jerzy („Kolczasty Jeż"), dając swem świetnem kierownictwem ideowem podwalinę prawdziwej harcerskiej drużyny. Rok 1920 zakończył się wyłonieniem z Czwórki Piątej B. D. H. przy Gimn. Klas. oraz wspólnym opłatkiem z Kresowemi drużynami — które nie posiadały własnej izby.

W styczniu następnego roku pluton dha Stabrowskiego Mietka „Rudego Kruka" (b. kom. Chor. Pozn.) otrzymał pochwałę ówczesnej Komendy Okręgowej. Wzorowy zastęp dha Szczygielskiego („Szczygiełek") założył znów sklepik harcerski, który przekształcił się z czasem w KDH—filja Poznań, istniejący do dziś dnia i jedyny w Bydgoszczy, począł wydawać pisemko „Biszkopt", które przetrwało do r. 1923, stając się częściowo pisemkiem nieoficjalnem hufca; odbijał druki administracyjne oraz odbywał częste wycieczki.

Samarytańskie pokazy wiosennego święta hufca dały nam I-sze miesce, a w ogólnym dorobku II, po Jedynce (założonej również przez naszego dha „Wicka"). W założonej kompanji harcerskiej połowę Członków stanowili Czwartacy. Drużyna wzięła udział w zlocie w Babkach, pod wodzą dha Mietka Stabrowskiego, który po powrocie został mianowady zastępcą komendanta hufca.

Latem 1921 Czwartacy reprezentują Bydgoszcz na zlocie harcerskim we Lwowie. Biszkopty biorą udział w niezapomnianym nigdy forsownym marszu do Kruszwicy pod wodzą dha Ryczącego Jeża (Neymana J.).

Po dhu Jossém komendę objął dh Szczygielski Henryk, zimą zastąpiony przez dha Neymana. Praca została systematycznie uplanowana i rozdzielona, każdy zastęp zajął się pewną specjalnością (samarytanka, obozownictwo, laubzegarstwo i t. d.). Po rozwiązaniu Kresowych drużyn część chłopców wstąpiła do Czwórki. Dh Neyman zorganizował i poprowadził Instruktorski Kurs Pożarniczy. Za wybitną pomoc w gaszeniu pożaru uzyskali Czwartacy pochwałę prezydenta miasta. Członek drużyny dh Trembiński powołany został na kierownika Dwójki.

Po krótkotrwałym żywocie kompanji harcerskiej w r. 1922 dh „Szczygiełek" założył przy Czwórce drużynę bojową, pierwsze P. W. w Bydgoszczy pod fachowem kierownictwem. Opiekunem drużyny został p. Pałaszewski, który żywo zainteresował się losem podwładnej drużyny. Zorganizowano zastęp kolarski. Zastępy zarobkują laubzegarstwem, wyrobem harcerskich pocztówek, hektografem, hodowlą królików i „fabryką atramentu". Największym jednak triumfem było uzyskanie pozwolenia Ministerstwa na zbudowanie pierwszego radjotelegrafu w Bydgoszczy nadającego i odbierającego na 300 m. Po zlocie w Kórniku drużyna urządziła pierwsze kolonje, głównie staraniem p. Pałaszewskiego, dla hufca bydgoskiego. Komendę obozu sprawowali Czwartacy: Dh Rudy Kruk—Stabrowski i Kolczasty Jeż-Jossé.

Na tradycyjnej wrześniowej Radzie Drużyny dh Neyman zdał kierownictwo dhowi Szczygielskiemu. Nowy plan pracy przewidywał specjalizację w elektrotechnice, sygnalizacji i introligatorstwie. Na stan 61 członków — bez stopni i przyrzeczenia było zaledwie 9. Bibljoteka wzrosła już do 150 książek. Gdy drużynowy wziął urlop z powodu objęcia komen-

dy Hufca, drużynę objął dh Berezowski. Ponieważ w tym czasie dał się zauważyć słaby poziom nauki — komenda drużyny urlopowała 20 harcerzy.

Na początku 1923 odbyła się wizytacja Kom. Chorągwi, która wykazała bardzo niski poziom harcerstwa w Bydgoszczy; wizytator rozwiązał kilka drużyn. W Czwórce urlopowanych usunięto, a z pozostałych zatrzymano tylko 16, aby byli podstawą dalszego prawdziwego rozwoju Czwórki i materjałem na zastępowych. Pobudziło to zmniejszoną gromadę do wydatnej pracy po usunięciu atmosfery kilkumiesięcznej ospałości, i na zlocie na Malcie uzyskała drużyna—III miejsce w Chorągwi, a latem odbywa pierwszy swój obóz — znów na Helu, pod wodzą Kolczasnego Jeża. Przyjęła również kilkunastu harcerzy z drużyn, które nie mogły odbyć kolonji. Kolonje funduszem wsparło Koło Przyjaciół Drużyny, założone na kilka miesięcy przed laty tem, przez zasłużonego i zacnego naszego przyjaciela, p. prokuratora Jossego.

Powrót ze świetnie spędzonych kolonij dodał sił i ogromnej chęci do pracy, która w tym roku harcerskim 1923/4 miała dać niezwykłe wyniki. I znów kierownictwo ujął w swe ręce dh „Szczygieł". Drużyna brała udział w ćwiczeniach obozowych, w wycieczce i podchodach hufca, odnosząc zwycięstwo. Wreszcie Rada Drużyny mianowała czterech harcerzy honorowymi członkami drużyny: przod. ZHP W. Gordona, założyciela drużyny, przod. ZHP Jossego J., b. drużynowego za nadanie odpowiedniego kierunku, pracy w r. 1920/1, dha Neymana, b. druż., za pracę przy organizowaniu kolonij, dha Trembińskiego za zbudowanie radjo i pracę przy nim.

W listopadzie postanowiono przyłączyć X-ą drużynę do Czwórki. Od tego czasu datuje się tradycyjny zastęp Czajek.

Pod koniec roku szkolnego najlepsze świadectwo rocznej pracy dały zloty. Czwórka uzyskała I miejsce w północnej części Chor. w Inowrocławiu, II — w Chorągwi po V Pozn. D.H. w Krotoszynie.

Drużynę zwizytował jeden z największych naszych przyjaciół dh Czarny Wilk-Wasilewski, Komendant Chorągwi.

W lipcu po owych wstępnych przygrywkach Czwórka stanęła na polach siekierkowskich na I Zlocie narodowym 1924. Spóźnienie obniżyło jej ilość punktów, mimo to wynik był doskonały i stał się podstawą do przyszłego mistrzostwa. Czwarta drużyna uzyskała 10 miejsc, pozostawiając w tyle na 28 miejscu Poznań, a na 66-em mistrzynię Chorągwi — Piątkę Poznańską. Uwieńczeniem wysiłków całorocznych było przyjęcie zastępu Kruków w sile ośmiu harcerzy do Reprezentacyjnej Drużyny Polski, która bierze udział w zawodach na Międzynarodowym Zlocie w Kopenhadze, uzyskując V miejsce.

I znów na odpoczynek pojechała Czwórka na Hel, rozbijając — jak zwykle — obóz pod latarnią morską w Jastarni. Obóz ten — prowadzony wzorowo przez dha przod. Szczygielskiego (opiekunem był p. prok. Jossé) został zaliczony do kategorji A i uznany za najlepszy w Polsce w 1924. Jako nagrodę drużyna uzyskała flobert.

Po powrocie z obozu Czwórki i Kruków — chwałą duńską okrytych, drużynę objął dh Mackiewicz („Tip" vel „Macał)", który w pierwszym swym rozkazie postawił za cel drużynie uzyskanie mistrzostwa Chorągwi.

Stworzono przy drużynie zastęp Akademicki pod wodzą Kolczastego Jeża w Poznaniu. Pragnąc podnieść poziom techniczny drużyny dh Mackiewicz zorganizował kursy: gimastyczny, sygnalistów i kolarski. Na jesieni drużyna odbyła dwie smutne dla siebie uroczystości: pożegnanie ukochanego przez drużynę dha Szczygielskiego i niezapomnianego opiekuna i prezeza KPH. p. prok. Jossego.

W listopadzie wizytacji drużyny dokonał dh.hm. A. Heidrich, Naczelnik G. K. M.

Tegoroczna Gwiazdka odbyła się przy bardzo licznym współudziale starych Czwartaków i przyjaciół. Spędził również z nami to święto drużyny dh Czarny Wilk — Wasilewski. Jako nowość wprowadzono szopkę (odtąd tradycyjną), która podawała w żartobliwy sposób aktualja i charakterystyki postaci drużyny.

WŁODZIMIERZ Ogończyk GODZISZEWSKI.

W MROKACH GOTYKU...

Z cyklu: „Niezniszczalne skarby ducha"

Gotyku półmrok głęboki schodzi na nawy...
W cieniu filarów kornie rozmodlone twarze!
Znicz tli się w presbiterjum — blado-złotawy,
A słońca blask skrada się przez barwne witraże!

Ciszę zmąci czasem szloch, modlitewny szept, jęk...
Przy Mszy świętej uroczyste słowo kapłana, —
Pielgrzyma krok, brzęk kluczy kościelnych, dzwonka [dźwięk!...
Boga Utajonego lud wielbi od rana!

Moc święta, wiekuista, żywa spływa z tumu!
Znika tu blichtr, pycha, nędza, ból, pokusa...
Anielskie ukojenia blaski biją z tłumu, —

Gdy się kłoniąc ku liljowej bieli obrusa,
Królowi Wieków z hołdem serca i rozumu,
W duszę bierze ukrytego w Hostji biel Chrystusa!

Zachęcona obfitym plonem zeszłorocznej pracy drużyna postanawia z okazji nowych zawodów w 1925 — postawić sobie za cel zdobycie mistrzostwa Polski. Plan pracy przewidziano w najdrobniejszych szczegółach; uporządkowano prócz tego administrację, zreorganizowano KDH, Harcerską Kasę Oszczędności i bibljotekę, która w marcu 1925 liczy już 802 książki (227 technicznych harcerskich), przeczytano w I kwartale 1560 książek; powiększono i urozmaicono czytelnię.

Pomocną okazała się ojcowska współpraca KPH, której nowy przewodniczący p. gen. *Karnicki* i sekretarz p. kpt. *Drobniak* szczerze interesowali się i przejmowali życiem drużyny i wspomagali nie tylko materjalnie ale i moralnie.

W lutym drużyna została podzielona na A—Błękitnych i B — Czarnych. Błękitna prowadziła już pracę zlotową. W kwietniu odbyły się trzy większe wycieczki: 3-dniowa do Chełmna i Swiecia (56 km.) dwudniowa do Koronowa (20 km.) i do Wtelna (64 km). Zawrzał jeszcze większy zapał do pracy, gdy drużyna została przyjęta na zlot jako jedna z najlepszych dziewięciu (potem tylko sześciu, trzy odrzucono). Wreszcie Czwórka stanęła w przededniu najważniejszego dla niej zdarzenia: lipiec 1925.



Przegląd drużyny. Obóz IV Bydgoskiej.

Drużyna Czarnych pod wodzą dha „Gogi", Karnieckiego Jerzego, wyjeżdża do Nadkola jako sztabówka; w ślad za nią przybyła drużyna Błękitnym z dhem Mackiewiczem i Jossém na czele. W skład drużyny wchodzą zastępy: Kruków (dh Romański „Krówka"), Wilków (Dh Karnicki Borys „Bobka"), Czajek (Dh Witek Kolanowski) i Lisów (dh. Kaokowski St.)

Chorążym był olbrzymiej struktury dh Obniski „Mańcik".

W tym składzie Czwarta bydgoska drużyna dnia 5 lipca 1925 uzyskała mistrzostwo Polski Z. H. P., Tytuł Pierwszej Drużyny Rzeczypospolitej, sztandar Prezydenta Rzplitej oraz nagrodę przechodnią Z. H. P. — statuę — Krakusa.

Po powrocie ze zlotu drużyna podążyła na Hel—„Kolonijnego życia cel" — zabierając — jak zawsze, kilkunastu harcerzy z innych drużyn.

Pozatem przyjęła Czwórka trzech druhów Polaków z Czech. Drużyna odbyła wycieczkę do druhen z Jedynki bydgoskiej w Karwi.

Obóz wizytował z ramienia GKM dh. I. Wołkowicz — wielki przyjaciel, dh. Wieloryb —J. Giertych, z ramienia Kom. Ch. dh. Czarny Wilk wraz z Białym Wilkiem, dhem Gabryelewiczem komendantem harcerzy w Stanach Zjednoczonych i jeden z najstarszych Czwartaków „Rudy Kruk" dh. Stabrowski. Z ramienia szkoły odwiedził nas b. opiekun ks. prof Kukułka, a p. dyrektor Mazurkiewicz przebywający w Helu szczególną nas opieką otaczał na wszelkich wystąpieniach w mieście. Komendę sprawowali kolejno: dh Szczygielski, i dh. Mackiewicz.

Wieczną i wdzięczną pamiątką tego ostatniego naszego pobytu na Helu była usypana przez nas na przestrzeni 300 m. droga leśna.

Po powrocie piekącą sprawą stała się kwestja wyboru drużynowego. Kwestja ta objawiła się poraz pierwszy w tak ostrej formie i powtarza się przez lata 1926/7/8. Mianowicie jesień 1925 przyniosła Czwórce ogromny brak — starszych Czwartaków odpowiednio wyszkolonych i przygotowanych na stanowisko drużynowego drużyny o tak wielkim poziomie. Było to winą w znacznej mierze poprzedniej komendy, która, mając na celu zdobycie mistrzostwa, nie wybrała nikogo na ewentualnego następcę.

Zwiększył się zastęp Akademicki; kilku wyjechało na zawsze z Bydgoszczy. Przez pewien czas podejmuje się prowadzenia dh. Karniecki Jerzy „Goga", mimo studjów uniwersyteckich, gdyż inni kandydaci byli stanowczo zbyt młodzi (Bobo). Niestety właśnie studja nie pozwalają na doglądanie spraw drużyny i dlatego jesień i część zimy odznacza się pewną ospałością w pracy.

We wrześniu drużyna pojechała na odsłonięcie pomnika Bolesława Chrobrego w Gnieźnie i stanowiła wartę honorową Prezydenta Rzplitej.

W grudniu dh „Goga" zdał kierownictwo i na następcę naznaczył dha Domagałę Marja-

na, jako jednego z najstarszych w czynnej służbie drużyny.

Na dorocznej Radzie Drużyny na Gwiazdce dh Kolczasty Jeż w szczerych słowach zachęcał do wyrwania się ze stanu pewnej gnuśności, wykazanej w jesieni, i do godnej obrony sztandaru Prezydenta. Słowa te odniosły skutek i drużynę znów ogarniał zapał do pracy, 1926, ale nie umiano znaleźć dobrej drogi do skrystalizowania go, gdyż drużynowy nie oparł planu na wieloletniem doświadczeniu poprzedników i okazywał czasem pewną niekonsekwencję i brak energji, wywołane przedewszystkiem z powodu zbliżającej się matury, braku doradców i stronienia od starszych chłopców, którzy niechętnie patrzyli na brak współpracy z KPH.

Jednak zapał członków drużyny znalazł już pewną formę: z ich inicjatywy powstał kurs sygnalizacyjny „Boba", warsztat laubzegarsko - zdobniczy „Krówki", a w marcu warsztat introligatorski „Olka".

Kilkudniowy obóz w Tryszczynie nie przyniósł korzyści, prócz przeprowadzonej częściowo przez Ryczącego Jeża próby na ćwika. Pod naciskiem starszych urządzono w czerwcu pięciodniowy obóz w Brzozie, na którym przeprowadzono szereg prób i sprawności.



Gimnastyka ranna w obozie „Czwórki Bydgoskiej"

Pod koniec roku szkolnego drużyna stanęła w obliczu groźnego faktu — że nie będzie stałego obozu... Wobec tego odprawa szarż z powodu nieobecności drużynowego przyzwała dha Kolczastego Jeża-Jossego. Za jego radą postanowiono urządzić jaknajwięcej wycieczek i największą ilość chłopców wysłać na kursy. I tak jeden Czwartak odbył kurs instruktorski w Radłowie, czterech kurs drużynowych tamże, zdobywając stopnie ćwika i sprawności, czterech odbyło kurs zastępowych w Kórniku; zastęp „kruków" (oczywiście) prowadzony tam przez Czwartaka, zdobył na kursie I miejsce i nagrodę, pozatem trzej uczestnicy otrzymali nagrody za osobiste zachowanie harcerskie.

Odbyto wiele wycieczek. 5 Czwartaków wyruszyło do puszczy tucholskiej na pobyt tygodniowy; trzech urządziło obóz 4-dniowy nad jeziorem Jezuickiem. Trzech wyruszyło również do puszczy tucholskiej na 10-dniowy pobyt (sprawność „Leśnego Człowieka"), dwóch wyprawiło się po Pomorzu rowerami, zastęp wakacyjny odwiedził Pierwszą żeńską w Samociążku, a w końcu sierpnia drużyna w liczbie 16 członków odbyła pięciodniowy obóz wędrowny po Pomorzu. Prócz tego Dwóch Czwartaków brało udział w obozie XIII Warszawskiej w Jugosławji.

Po tak spędzonem lecie drużyna znów stanęła wobec pytania — kto ma nią pokierować. Ponieważ jednak Wrześniowa Rada Czwartaków pod kierownictwem dha przod. Szczygielskiego opracowała ścisły i b. dobry plan pracy — warunki nowego drużynowego były o wiele łatwiejsze niż poprzedniego. Po uzgodnieniu stosunków z dyrekcją gimnazjum drużynę objął dh Niesiołowski Zdzisław.

I tu stała się rzecz oryginalna; drużyna — wprost podminowana zapałem przywiezionym z kursów i wycieczek — pchnęła swego kierownika do pracy, a nie jak zwykle bywa — naodwrót. Na jesieni bowiem zapanował w naszej starej izbie świetny nastrój, chęć do pracy i życie jakieś ogromne, choć brakło może nieco karności. Od początku istnienia drużyny nigdy izba nie widziała takiego tłumu w swych murach, jak na jesieni i zimą 1926/7. Skłonił do tego konkurs o uczęszczanie do izby, który niejako nałóg wyrobił w członkach. Izba przyciągała wszystkich od najmłodszych do najstarszych, od Czwartaków — do harcerzy z innych drużyn i do „cywilów".

Czytelnia bardzo dobrze zorganizowana dostarczała prawie wszystkich pism harcerskich i wiele innych tygodników, jak „Świat", „Światowid", „Morze" i t. d. Bibljoteka największa harcerska w Polsce, zawierała już koło 850 książek, z czego na harcerskie przypadało 250.

W izbie odbywały się w godzinach czytelni rozgrywki szachowe, „chińczykowe", mah-jonggowe, a wreszcie ping-pongowe.

We wrześniu powstało Harcerskie Kółko Literackie, skupiające starszych chłopców. Prezesem został założyciel dh Zieliński Kazik. Celem Kółka było: odczytywanie i krytyka wła-

snych utworów, redagowanie pisemka drużyny i urządzanie imprez artystycznych.

Jeszcze bardziej zżyła i zespoliła najstarszych praca przy wydawaniu pisma „Naszym Szlakiem“, które ukazało się poraz pierwszy 23/X.26 r.

Pozatem dh Dębowski prowadził w dalszym ciągu warsztat introligatorski, a dh Romański—radjo.

28/XI Kółko Literackie urządziło obchód powstania — pierwszy swój występ, a 23.I 27 odchód powstania styczniowego.

Gwiazdkowa Rada Czwartaków zgromadziła wielu starych Czwartaków. Rozdano nagrody za ozdobienie izby i nagrodzono nowele „Naszym Szlakiem“.

W maju doznała drużyna ogromnie dotkliwej straty, zmarł bowiem jej serdeczny przyjaciel pan starosta Niesiołowski.

Drużyna stanęła do turnieju gier o mistrzostwo hufca.

29 czerwca odbyło się wielkie święto 10-lecia harcerstwa w Bydgoszczy. Po rannej defiladzie przed dhem hm. Sedlaczkiem odbyły się zawody sportowe hufca. Drużyna otrzymała puhar jako nagrodę przechodnią za zdobyte mistrzostwo hufca w turnieju gier. Wieczorem uroczysty obchód w gimn. Matem, na którym referat wygłosił dh „Arcykot“, dyplomy zasługi otrzymali m. in.: p. gen. Karnicki, p. kpt. Drobniak i dh przod. Jossé Jerzy za wybitną pracę dla Z. H. P.

Następnego dnia odbyła się herbatka Czwórki dla omówienia spraw kolonij, pod przewodnictwem Kolczastego Jeża. Po kilkudnionwych debatach zgodził się dh Ryczący Jeż-Neyman poprowadzić obóz pół stały.

Po dwutygodniowym pobycie nad jeziorem leśnieńskiem ruszyła Czwórka obozem wędrownym ku morzu, maszerując przez Szwajcarję Kaszubską. W Gdyni zostawiła jednego uczestnika na kursie drużynowych i trzech na instruktorskim, poczem podążyła do I-ej żeńskiej bydgoskiej w Dębkach. Po odwiedzeniu Helu i wybrzeża wróciła drużyna do Bydgoszczy.

Wreszcie Rada Drużyny oddała kierownictwo dhowi Ryczącemu Jeżowi. Dh Neyman objął drużynę poraz trzeci, i prowadził ją tylko, dojeżdżając na święta z Poznania, pozatem drużyna musiała rządzić się samodzielnie.

Odbyła się we wrześniu wycieczka i przyrzeczenie odebrane przez starego Czwartaka dh przod. Czajkowskiego Z. („Kaśka“). Redaktorem „Naszym Szlakiem“ został dh Szpakowski, potem dh Kuminek.

W grudniu nastąpiło otwarcie wystawy hufca z okazji 10-lecia. Udział brało 17 drużyn. I nagrodę za całość eksponatów otrzymała Czwórka.

W lutym drużyna własnemi siłami wystawiła oryginalne przedstawienie harcerskie „Coś... czego jeszcze nie było“.

W maju zdobyła mistrzostwo w siatkówce, oraz brała udział w zlocie w Węgrowcu. W czerwcu zdobyła poraz wtóry mistrzostwo w turnieju gier.

Największym tryumfem było urzeczywistnienie długoletnich marzeń: Czwórka święci własny sztandar, własnym „sumptem” ufundowany. Na tej miłej uroczystości odbyło się przyrzeczenie i herbata drużyny wraz z K. P. H. i licznymi gośćmi.

Kolonje spędziła Czwórka poraz pierwszy za granicami swej Chorągwi w Kameszniсy pod Żywcem, w Beskidzie Zachodnim, przy licznym udziale Czwartaków z Krakowa, Poznania i Torunia. Opiekunem był dh hm Gigiel, a komendantem dh Witek Kolanowski. Nawiązano serdeczne stosunki z hufcami śląskiemi. Pod koniec lipca połowa uczestników obozu ruszyła na wycieczkę po Beskidzie i Tatrach.

Praca zaczęła wreszcie wchodzić na normalne tory, zwłaszcza, że nowy drużynowy ujął Czwartaków swem mądrem postępowaniem i przejęciem się duchem Czwórki.

Na Zaduszki odbyła się zbiórka alarmowa ku czci „Orląt Lwowskich“.

Na Gwiazdkę przybyli Czwartacy z Cieszyna, Warszawy i Poznania. Na Radzie Czwartaków omawiano dotychczasowy dorobek i wezwano do ciągłej pamięci o haśle Czwórki: „Będziem szli karnie pomimo przeszkody“.

Ustaliła się też konsolidacja i ustabilizowanie się stosunków wewnętrznych i zewnętrznych. Poraz pierwszy Czwórka nie jest zmuszona obawiać się o następstwo w kierowaniu jej losami — tembardziej że darzy szczerem zaufaniem swego nowego drużynowego Zbigniewa Soję.

Pieśń Czwórki.

Melodja „Mahometanki“ kursów instruktorskich dha Maresza.

Hej, Czwarta bydgoska zwycięska drużyno,
Wszak wiosna znów wzywa nas,
Od pola i borów wołania już płyną,
Czwartacy, więc dalej w las. bis

Jak było za Jurka, Szczygiełka, Bormana,
W podchodów pójdziemy bój,
By wroga osaczyć i śledzić od rana,
Wykrzyknąć: „kto jesteś?“, „stój“. bis

Powiedzie nas Witek przez góry, parowy,
Wyostrzy w nas wzrok i słuch,
Obudzi uśpioną drużynę wiew nowy
I Czwórki się ozwie duch. bis

Po sztandar Prezydenta.

(wyjątki z „epopeji“ kroniki IV B. D. H.).

Czarny Wilk.

Hej, druhowie Czwartacy! A pamiętacie wy przeddzień wyjazdu do Nadkola? Stanęliśmy w dwuszeregu — drużyna zlotowa błękitnych.

Brama Starostwa, w którego murach mieścił się nasz namiot zimowy, uchyliła się. Ukazała się wysmukła postać, twarz o przemiłym pociągającym wyrazie, a z pod czarnego wąsika płynął ku nam przyjazny braterski uśmiech.

Serdeczne uczucie przeszło radosną falą przez szeregi Czwórki. Czarny Wilk! Czarny Wilk!

Prężą się szarże. Gromka pada komenda, komenda Mackiewicza.

— Druhu Komendancie...

Czyż jest dziś komendantem Chorągwi w Poznaniu? Nie — druh Wasilewski pojechał uczyć naszych skautów w Stanach Zjednoczonych harcowania w naszym duchu.

Czarny Wilk nas żegna. Czy pamiętacie słowa, któremi żegnał i życzył zwycięstwa?

— „Nie wątpię, kochani chłopcy, że zdobędziecie mistrzostwo. Ale chcę was ostrzec przed tem — co zawsze niemal czeka wszystkie organizmy, od tak wielkich jak państwa począwszy. Pamiętajcie—nie dajcie się uwieść i, gdy zdobędziecie sztandar — nie spocznijcie na „laurach“. Największe to niebezpieczeństwo: usunąć na długi czas po wielkim wysiłku. A więc zaraz po zlocie — znów do ciągłej usilnej pracy nad sobą“.

Czwartacy, niema wśród nas, ani w pobliżu nas naszego przyjaciela. Ale te słowa wryły się nam w serca i choć u wielu przykrył je pył zapomnienia, słowa te powtarzamy. Oto spuścizna Czarnego Wilka.

I nasza gromada w dzień dziesięciolecia drużyny zakrzyknie w stronę swego duchowego wodza:

— Bywaj Czarny Wilku! Aa-uu!

Do obozu.

Czyż nie wspaniale wyglądało, gdyśmy stanęli w gotowym szyku na drodze w Łochowie? Wytoczyliśmy wszystko z wagonów, wysypaliśmy się i zapełnili błotnisty szlak obstąpiony zdziwionymi wieśniakami.

Na czele kroczył Mańcik z Patachonem. Któż nie pamięta Mańcika z tych, którzy go choć raz widzieli? Wspaniała postawa, której nikt w Bydgoszczy nie przewyższył, równie wspaniały humor — to cechy Mańcika. A przy nim plącze się nieodłączny jego towarzysz wciąż coś „z dołu“ krzyczący, dowcipkujący nasz Patachon, Jaś Kiedrzyński. Dziś — to poważna osoba, wtedy — najmniejszy i dlatego też był naszym benjaminkiem. Nawet srogi Tip-drużynowy puszczał mimo ucha dowcipy malca.

Za nimi wali Filip (kruk kopenhaski) z bębnem, ozdobionym chorągiewkami. A oto trzon drużyny. Pas szarych spodenek i koszulek khaki.

„Laski krzepko dzierżą w dłoni“. Lśnią menażki na czubach plecaków. Za armją — jak w każdej przyzwoitej armji jedzie tabor. Oto trzy nasze wózki. Wszędzie tu biega Kadeha, skrzętny nasz rachmistrz i kucharz-konkurent w tym względzie Ojca-Z-Kitlem. Wiemy o kogo chodzi. Biega od wózka do wózka, czuli się do nich jak markietanka: tu coś skrzypi, tam za luźno, a tu za szczelnie.

Aras pełen dumy prowadzi wózek z kotłami i brodzi z nim przez częste kałuże. Pogania Bobka, tabor z zapasami obozowemi popędza Kolczasty Jeż (raczej Jerz) — Jurek Jossé—wózek z „biurem“, kancelarją i sekretarjatem-papierowym mózgiem obozu.

Nie była nam przyjacielem pogoda nadbużańska, jak nie była i Piętnastce, bratniej drużynie z Chorągwi. Na nasze wyzwanie — gdy ruszył pochód — niebo, od kilku dni zaciągnięte i od czasu do czasu spuszczające ulewę, zwróciło się teraz przeciw nam.

Szliśmy przez wioskę — coraz cichszą, coraz bardziej skupioną przed silnym deszczem, przez pola, pola, czasem lasy. Droga — jak to droga nadbużańska — glina zdradliwie rozstępowała się pod nogami. Nie szkodzi—tylko czy to daleko? Szczególnie ci mali speszeni. Nic to, tylko 9 kilometrów—odpowiadają ćwiki.

Malcy idą „morowo”. Tak im się zdaje i są oburzeni, że Tip kazał kilku z nich złożyć plecaki na wózki. Po co?

Śpiewamy. Śpiewamy wciąż, na zagłuszenie melancholji, spływającej z nieba strugami i ślizgającej się po glinie. Pierwsze krople przedzierają się przez koszule.

— „Jechał sęk“. Grunt się nie przejmować.

Armja zostaje podzielona. Energiczny Bobka i niespokojny, zło węszący Kadeha prowadzą tabor, który musi zostać bardziej w tyle. Trudno przepychać wózki, droga coraz gorsza, kałuże wstrętniejsze. Tam koło ugrzęzło w rowie, tu dyszlem zawadził wózek o krzaki. Mę-

czy się Aras, popędza i naprawia, Bobka woła Kadeha (imię nieodmienne). Walka z glebą. Zdarza się, że i coś chce zlecieć zapomocą wiatru. Ładnieby wyglądało.

Drużyna rozdzieliła się na dwójki. Ale i to na nic. Gdzież na tej drodze miejsce dla dwóch? Szarugę straszną, szarugę nieba i pól, złączonych łzami przecina barwna gąsiennica drużyny. Jeden za drugim trop w trop...

Czasem się ktoś ześlizgnie z dróżki, popsuje szyki i monotonny rytm, rzadko („naturalnie biszkopty") upadnie laska. Tak się spieszymy, a te kilometry takie ospałe!

Z rozciągnięciem się drużyny cichnie melodja, rozwiewa się w polu...

Szliśmy szybko, teraz kroczymy, czasem brodzimy.

Komenda odwraca się niespokojnie raz po raz. Gdzie tabor, czy daleko? Czy zdążymy na godzinę piątą do obozu ze wszystkiem? Czasem staje — porównywa mapę: my czekamy niecierpliwie — byle iść. Lepiej iść na mokro niż stać na mokro.

I znów naprzód. Idziemy, idziemy...

Ale oto w dali ukazuję się wioska. Mapa mówi, że to Nadkole. Nic to, że mokro na całem ciele, prócz pleców, chronionych przez ciężki plecak. Nadkole przed nami — twarze nasze nabierają wyrazu.

Chłopcy, trzymać fason, podciągnąć się!

Gwar znów się zrywa jak wiatr, tu i ówdzie wesoła piosenka podnosi kotwicę. Naraz brzmi huraganowo wesoły, dziarski i tubalny głos Mańcika. Mańcik z Patachonem, którzy poszli pomagać w wyciąganiu wózków z błota, z rozpędem przebywając przeszkody—dobrnęli do drużyny z rozgwarem i hałasem.

Kilku rzuciło się do wózków. Z tryumfem popychamy środkiem drogi. Teraz on stanowi centrum drużyny, reszta brodzi z boku. Woda zimna chlupocze nad głową, chlupocze w butach — ale niema wody w sercach.

I śpiewamy jak marsz tryumfalny humorystyczną piosenkę o skocznej melodji:

Piccolino bombardon
I ten mały gramofon
Wielki bęben dziurę ma
A ten mały jeszcze gra!
Jeszcze gra, grra, grrra.

Wkraczamy do wioski jak zdobywcy do zwyciężonego miasta. Witają nas kałuże, zajmujące całą ulicę. Co tam! Mańcik, trzymając dyszel i jak Czarniecki przez morze — wkracza w nadkolski ocean krzycząc „ta banda gra!". Toć to już wreszcie Nadkole! Wpół do piątej.

Przybycie drużyn.

Czy wiecie jak nadjechała Dwudziestka Warszawska?

Pewnego dnia rozległy się w Nadkolu dziwne głosy:

— Y-a! Y-a! Y-a!

Jadą konie — nie konie, jedzie wóz wielki, rozbrzmiewający gwarem wesołych harcerzy.

Jadą dwa poczciwe osiołki, prawdziwe osiołki, i głoszą żałosnym głosem — że Dwudziestka jedzie.

* * *

Kilka dni przed zaczęciem zlotu. Ukazują się we wsi postacie chłopców, tajemnicze, skryte, przemykają się do lasu, nad Liwiec: to patrole wywiadowcze Dwójki badają teren przyszłej bitwy. I czekają przyjazdu swojej drużyny, aby się nieznacznie zręcznym — indyjskim pochodem do niej przyłączyć.

Gdy obóz nasz stanął nad Liwcem — punktualnie o godzinie piątej — (ostateczny termin przybycia) i udaliśmy się z siennikami po słomę, ukazał się w gąszczu sznur postaci o rondowych, bronzowych kapeluszach z góralskiemi perełkami, o szarobłękitnych koszulkach. Kapie z daszku kropla po kropli, kapie kilka kropel razem.

— Wiwat Piętnastka! Wiwat Poznań!

Witamy serdecznie spóźnionych, którzy przebyli tę samą eskapadę co my, dążąc za naszym tropem.

Zegar.

Zacznę od niego — od regulatora życia, Ale innego życia, odrębnego, bo obozowego. dlatego więc nie gniewajmy się, że się spóźniał do 6 minut.

Zegar obozowy wszystkich drużyn rozlegał się z naszego małego królestwa i był naszym pomysłem. Zaraz pierwszego dnia Kruki powiesiły na konarze ogromnego drzewa sznurową drabinkę. Wraz z rozwojem cywilizacyjnym obozu dorobiliśmy szczeble z drzewa. Stamtąd prowadziła droga poprzez gałęzie na przemiłe bocianie gniazdo dla strażnika ułożone z trójkąta związanych lasek.

Nad bocianiem gniazdem wisiała ogromna pokrywa największego kotła naszego—wywalczonego z trudem od Ojca-Z-Kitlem, odcinająca się okrągłą czernią od zielonego tła. Na strażnicy leżała ogromna maczuga i bęben.

Oto techniczne opisanie dzwonnicy.

Przyznam się otwarcie, że byłem zawsze pełnym poświęcenia ochotnikiem, gdy chodziło o pełnienie na niej dyżuru.

Czyż nie było to zadaniem pełnem wagi i godności wybijać olbrzmią pałą — godną

Mańcika, godziny w starą dźwięczną pokrywę, a co w kwadrans w mały bęben Filipa? Była to funkcja tak uroczysta, że z chwilą bicia zwracała się na zegar uwaga wszystkich. Bicia słuchano względnie spokojnie. Obawiano się bowiem przy wielkim i akrobatycznym rozmachu maczugą podrażnić i narazić dzwonnika na salto mortale na namiot komendy.

Bum! — wybite. Dyskusja otwarta.

— 5 minut zawcześnie, — krzyczy Trzynastka.

— Minutę zapóźno—woła wartownik Piętnastki.

— Dobrze jest! — zupełnie dobrze! — donoszą głosy ze strony zawsze zgodnej Dwudziestki.

My oczywiście sami nic nie mówimy — bo czyż możemy krytykować własnego dzwonnika.

Dzwonnik schodzi na obiad (zawsze pierwszy — według zegarka) zadowolony z czynu, oznajmiającego wszystkim czas europejsko-obozowy.

Na dole drzewa z zazdrością patrzą najmłodsi. To tak pięknie na wysokiem drzewie ogromną pałą uderzać w stary kocioł.

Rozlega się po lesie, po wiosce głuche obozowe:

Bum! Bum! Bum!

Jeszcze jeden mazur dzisiaj.

Niedaleko obozu,ukryty za wysokim występem lasu, wrzynał się w Liwiec mały półwysep Polanka.

Dnia jednego pod wieczór w ciszy i tajemnicy sunął tam gęsiego cały szereg Czwartaków. Różnego wzrostu i zastępu. Bez względu na warstwy harcerskie. Dość niezwykły dla przygodnego widza pochód odznaczał się tem, że każdy prawie niósł coś w ręku. Można było pomyśleć, że idą zakładać kuchnię.

Na półwyspie, Bobka dał znak, część siadła wśród brzęku i dźwięku narzędzi, część stanęła gromadą.

W pierwszej chwili wyglądało na zanoszące się śniadanie. Przyniesiono bowiem kotły, noże, widelce i t. d. Ale nie. To była nasza zaimprowizowana orkiestra, popisująca się artystyczną grą i i artystycznym nadmiarem (nie „umiarem“) w sali „Ogniska nadkolskiego“.

Bobka władczym gestem trzasnął długim bambusem w ziemię i krzyknął.

— Cicho, banda!

Głos jego był elektryzujący. Z grona naszego wyodrębniły się cztery pary, a dokoła władcy bambusa ukonstytuowała się orkiestra. W czterech rogach wyimaginowanych ścian stanęli Czwartacy do mazura i krakowiaka. Trzeba było widzieć prawdziwy wdzięk niewieści Urbina czy Szczurka, patrzących zalotnie „zpode twarzy“ na swych partnerów.

Bobka tymczasem z chaosu wyciągał porządek. A więc tu instrumenty basowe, t. ż. Jurse Kolczasty, dmuchający w pustą manierkę, Mańcik walący w dno kotła największą warząchwią (wszystko w proporcji do wzrostu) i dobosz Filipek; tam tony lżejszej wagi, Papuas z grzebieniem (co za kultura!), Pipuch z harmonijką, kilku specjalistów z menażkami, łyżkami i widelcami, a wreszcie koło Bobki kilku wybitnych solistów, między innymi Patachon, któremu przepowiadano piękną karjerę z powodu donośnego głosu w palcach; niestety teraz dostał mutacji.

Próba orkiestry zaczęta.

Nadkole ani też cały obóz nic podobnego nie słyszał i cała barwna mieszanina odgłosów na popisie wprawiła wszystkich najpierw w radość (jako rodzaj wesołości), a potem w zachwyt. Bobka—arcymistrz-kapelmistrz i tenor bohaterski, potrafił z pewnego rodzaju kakofonji taktem i energją (do obojga pomagał sobie bambusem) uczynić orkiestrę.

Wzór samowystarczalności na łonie natury, której włosy siwiały z przerażenia. Orkiestra dawała wrażenie muzyki prawdziwej, tylko nieco zdziczałej w harcerskim obozie. Tempo było tak zawrotne, że mazurzy dostawali kołowacizny w obrębie wyznaczonego kwadratu i wykonali taniec w jakiemś dzikiem, ekstatycznem upojeniu starych Sarmatów z okresu przedchrześcijańskiego.

Świstak (inaczej także Mucek) spóźnił się z kostjumami z Warszawy, wobec czego chcieliśmy wystąpić jeszcze raz przy ognisku. W tym celu wtajemniczeni w arkana mazurzenia w nogach ruszyli znów na półwysep przebrać się, przyczem niewiasty szczególny okazywały srom i „wstydały” się ogromnie. W obozie zrobiliśmy furorę. Ogłoszono zaraz ludowy konkurs piękności. Sąd ogółu określił, że Szczur jest podobny do krakowskiej przekupki, że stanowczo najpowabniej wygląda Zośka. Co do mnie— uznano, że mam „kształty“ za szczupłe, a to dlatego, że mi już gałganków nie starczyło.

Wynikiem popisu przy ognisku była jeszcze większa furora, tembardziej, że partnerzy starali się okazać partnerkom cały swój zapał i nawet Krówka delikatniej mnie trzymał i nie ślizgał się przy hołubcu.

A szeroko rozsiadła orkiestra, za podrygiem groźnego bambusa dudniła i dmuchała, gwizdała i krzyczała, piszczała i śpiewała na jeden ton i głos, nad który wybijał się przemiły tenor Bobki:

Jeszcze jeden mazur dzisiaj,
Choć poranek świta!
Dziś! Dziś! Dziś!

Harcerskie ognisko.

Zmrok zapadł. Sztabówka rozpala wielki ogień naszego wspólnego ogniska. Jak duchy — zdążają długie szeregi drużyn gęsiego: postacie otulone kocami wyglądają tajemniczo. Jak plemię Indjan, wybierających się na fajkę pokoju, zasiadamy do harcerskiego stołu. Tak — to będzie narada, też uroczyste palenie fajki-pokoju i braterstwa. Boć my innych fajek nie znamy.

Siedzimy jeden obok drugiego, malec z dryblasem, przyboczny z szeregowcem, drużyna z drużyną.

Tam na podwyższeniu zasiadł nasz areopag, nasza wielka rada wojenna, rada wojny o radość.

Trzaska ogień od dokładanego drzewa, oświetla dziwnem światłem nasze twarze. Za nami stoi tłum sylwetek; widać dokładniej twarze, różowe od odblasku. To wieśniacy Nadkola dziwują się i słuchają naszych piosenek i nucą sobie pocichu. A potem jakże miło, gdy w polu słyszeliśmy nasze piosenki! Nasze— w ustach „ludu mas".

Czy pamiętacie te chwile, gdy wśród szumu boru nadbużańskiego, wysokich, zgrzybiałych jego drzew na polanie, rozpalonej czerwienią ognia, siedzieliśmy w ciszy wielkiej, przerywanej słowami, w które byliśmy zasłuchani? Gdy głos donośny Szumiącego Dębu lub spokojny Arcykota rozlegał się wokoło po lesie — i po sercach naszych. Zapominaliśmy wtedy o wszystkich zawodach, zapadli w słoneczny świat dobrych chęci i czynów. Z biciem serca słuchaliśmy opowiadań o pracy konspiracyjnej, chcąc dorość do tych wielu bohaterów. Ze skupieniem chwytaliśmy serdeczną troskę o przyszłość i braterskie wskazówki.

I takie chwile dają ogromną moc i siłę i dobrą wolę zarazem kroczenia przez rok monotonnego życia wytkniętym szlakiem harcerstwa.

* * *

Przy naszem wspólnem ognisku po wieczornej, pełnej nastroju gawędzie odbywały się zabawy ogniska, prowadzone przez coraz inne drużyny — na punkty. Okazywały one prawdziwy humor harcerski i były nieraz mistrzowskie.

Pamiętam, że po powrocie z ogniska — gdy zabawy prowadziła Dwudziestka, większość naszej drużyny legła chora na bóle mięśni brzusznych.

Gdzieś tam ktoś jeszcze ma u nas przepisany djalog pijanego z Kopernika, łudząco naturalnie „odtworzonym", żywym oczywiście. Jeżeli ten przekomiczny djalog niezupełnie pozbawił nas sił, to dokonała tego świetna gimnastyka.

Wyobraźcie sobie dwa szeregi chłopcow ubranych w maski i w strój tak — jakgdyby stali zwróceni do nas. Dyrygent również wydaje rozkazy, patrząc od naszej strony. I naraz — co się dzieje!

— Skłon — w tył!

I wszyscy są tak świetnie wygimnastykowani, że się przechylają w tył (zauważcie tylko) do samej ziemi! Ale po chwil rozczarowanie.

— Skłon — wprzód!

Myślicie, że się pochylili? Ot nieznacznie, jakby ich piersi bolały, ledwo trochę naprzód.

I taka padała jedna komenda za drugą, wywołując salwy śmiechu, gdyż była to gimnastyka „odwrotna".

Oto teraz z pośród gromady Piętnastki wystąpił mały trubadur. Kaptur na głowie, peleryna do pięt, w ręku mandolina (wiązana sznurkiem). Rozczulający trubadur wznosi jasne oczy w stronę niewidocznego (drzewa zasłaniają) balkonu i śpiewa — do niej:

Ną łące skacze cielak mody
Na prześcieradle skaczą pchły,
I żaba skacze też do wody
A w mojem sercu skaczesz — TY!

Umilkł, brzdąknąwszy bardzo cicho w naczynie poezji. Rozlega się przyciszony chór drużyny:

Ja śpiewam trenny do swej marzenny,
Spojrzyj, ma donna, z swego balkonna.

Jedzie pociąg Trzydziestej Dziewiątej. Wszyscy rytmicznym ruchem rąk naśladują hamulce parowozu.

— Jusz je - dzie - my! — chóralnie mówią wszyscy, wpierw powoli: potem powtarzają coraz szybciej, aż pociąg dochodzi do kulminacyjnej prędkości. A potem coraz wolniej, wolniej, wolniej.

— Do-jeż-dża-my! Do-jeż-dża-my!

Rozlega się gwizdek kondukrora.

— Pa-ca-nów! Wysiadać!

— Pii-wo! Czek-kolada! Świeże parówki!

Pociąg stanął, nabiera pary i jedzie dalej, przypominając nam ten prawdziwy, który nas razem stąd wszystkich uniesie...

Zwycięstwo.

Pobudka zastała nas w ponurym nastroju. W południe przecież rozkaz. Nasze zwycięstwo lub klęska. Od najstarszych do biszkoptów liczliśmy niezdarnie, jakie i ile punktów mogliśmy otrzymać, a ile inne drużyny.

Taki sam harmider panował w innych obozach. Cyfry latały na gorąco. Piętnastka biegła do nas, Kruki do Dwudziestki, Dwójka do Trzynastki, aby wybadać nastrój na polu bezkrwawej bitwy po pięciodniowej sympatycznej walce. Prawiliśmy sobie wszyscy grzecz-

ności i zausznie jedne drużyny drugim gratulowały, ale wszystko wisiało na domysłach.

Nasza komenda chwytała sztabowców i wyciągała z nich „wiadomości z kół bardzo wiarygodnych". Druh „Będzie—będzie" twierdził, że w nocy cała komenda zlotu rzuciła się na Mietka Stabrowskiego, który wyleciał na dwór, przebiwszy i rozprówszy płachtę z okrzykiem: „o jeden punkt".

Padła na nas trwoga. To jeden punkt ważył się zapewne między nami i Trzynastką.

Ojciec-Z-Kitlem znów mówił, że przeciwnie Papa Dybcio wyrzucił komisję z namiotu tak, że Arcykot, krzycząc „Trzynastka", znalazł się w kuchni obok Ojca-Z-Kitlem, który właśnie smażył placki z kartofli, układając sonet stopierwszy z cyklu „Nadcoliana".

A w nas huczała myśł: co to będzie? Jeśli „przegraliśmy" — to jakże się pokażemy w Bydgoszczy? A gdy osiągniemy mistrzostwo?...

Gdy nadeszło południe, rozległ się drażniący gwizdek na zbiórkę drużyn. Ustawiliśmy się w wielkiem półkolu, w dwuszeregu każda, ze sztandarem i asystą.

Nasza sztabówka trzymała wyprężona sztandar Prezydenta i statuę z bronzu.

Na wszystkich twarzach powaga i zdenerwowanie.

W środku podkowy komisja. Czerwony czepek Papy Dybcia drażnił nas i kłół, a jeszcze silniej papiery w rozmaitych teczkach. Miny obojętne jakgdyby nigdy nic. Ani mrugną.

Raport przed komendantem zlotu. Dru-



IV Bydgoska na Zawodach Związkowych w Nadkolu po osiągnięciu tytułu „Pierwszej Drużyny Rzplitej".

Wobec takiej rozbieżności zdań, siwiały nam włosy na skroniach.

W takim nastroju, jak rzekłem, zastała nas niedziela. Rozpłakana i rozmazana, zupełnie jak na początku zlotu; zdawało się, że nie pójdziemy do Krzemieńczyka na mszę, ale około dziewiątej słońce zrobiło do nas piękne oko. Na taką zachętę ruszyły wszystkie drużyny.

Po naszym powrocie pogoda była już tak piękna i nawet upalna, że wszystko sprzyjało zwijaniu obozu. I znikać zaczęły i upadać nasze chałupki i niszczyliśmy brutalnie piękne ozdoby obozu. Runął maszt, zakopano rowki, wyciągnięto w jeden szereg plecaki.

żynowi wracają do swoich drużyn i drżą razem z niemi. Dziw, że Arcykot nie usnął zahypnotyzowany naszym wzrokiem.

W tem grobowa cisza.

— Baczność! Rozkaz Naczelnika Głównej Kwatery Męskiej.

Słychać spokojny, donośny głos, rozlegający się wśród lasu nadbużańskiego, głos, ku któremu wyrywają się nasze uszy i serca.

— Mistrzostwo Polski w zawodach Z.H.P. sztandar prezydenta Rzeczypospolitej, tytuł Pierwszej Drużyny Rzplitej —— nagrodę przechodnią N.Z.H.P. otrzymała w tym roku...

???

— ... Czwarta...

— Hurrra!

— ... Bydgoska Drużyna Harcerska Błękitnych im. J. Kilińskiego, uzyskując punktów 409...

Zwycięstwo!

Nie możemy ustać na baczność; szturchamy się łokciami i rzucamy załzawiony i wykrzywiony wzrok ku sąsiadom.

— Spocznij!

Występuje, nie, wybiega Jurse i krzyczy głosem, w którym poplątały się struny krtani:

— Baczność! Na prawo patrz!

Zbliża się asysta sztabówki ze sztandarem Prezydenta i z nagrodą. Łatwo powiedzieć: zbliża się! W powolnym poważnym kroku drżało wybiegające ku nam wzruszenie naszych Czwartaków.

Wyłania się potężny Mańcik i krzepko ujął białą rękawicą drzewce sztandaru. Nasz!

A potem tryumfalne wołanie Kolczastego Jeża, poparte gromadnym naszym okrzykiem:

— Czwartacy! Na cześć współtowarzyszy trzykrotne: Czuj, Czuj, Czwartak! Czuj, Czuj, Czwartak! Czuj, Czuj, Czwartak! Czwartak! Czwartak!

Narodziny „Naszym Szlakiem".

Wróciłem z kursów 1926 z głową napęczniałą pomysłami. To też zaraz przystąpiłem do zrealizowania zamierzonych planów. We wrześniu zostało założone Harcerskie Kółko Literackie, jedyne tego rodzaju w Harcerstwie po Trzynastce Warszawskiej, o którem zresztą nie wiedzieliśmy. Za cel postawiliśmy sobie: odczytywanie i krytykowanie własnych utworów (znalazło się naraz aż sześciu wierszopisów), redagowanie przyszłego pisemka drużyny, urządzanie występów — przedstawień.

Po uchwaleniu statutu musieliśmy podjąć starania o możność wydawania pisemka.

Otóż to. Hektograf zgóry odrzuciliśmy— pismo nasze bowiem miało być obliczone dla szerokich warstw harcerskich — przynajmniej w Bydgoszczy.

Rozpoczęliśmy żywą korespondencję na wszystkie strony. Dowiedzieliśmy się wtedy o „czeskiej glinie", o maszynie, na której można samemu drukować książki itd., ale ponieważ te wspaniałe wynalazki odznaczały się równie wspaniałą ceną — zwróciliśmy oczy na bliską rzeczywistość.

Podobno można drukować (bezpłatnie) przy „Gazecie", „przy Szkole Przemysłowej". Ale ku naszej niemej rozpaczy zanosiło się na wykreślenie z dziedziny naszej pracy pisemka, do którego w myśli już zdążyliśmy się przyzwyczaić.

Rozwiązanie spadło naprawdę deus ex machina. Odkryłem dość prymitywną maszynę do odbijania „Greifa", który leżał na emeryturze. Próby dały wyniki nadzwyczajne — można było drukować.

Po tej radosnej wieści sypnęły się artykuły, znalazła się maszyna do pisania; większość Kółka przedzierzgnęła się w Redakcję, z której znów wyłoniła się zecernia.

W wielkiej tajemnicy przed światem rozpoczął się druk pierwszego numeru. Tymczasem ze świata bydgoskiego dochodziły głuche i ponure wieści. Bydgoszcz zachorowała na wydawanie pisemek harcerskich.

Chytrze wybadawszy Szóstaków, dowiedziałem się przerażających szczegółów o mającem za kilka dni wyjść piśmie „Czuwaj". Format arkusza kancelaryjnego, objętość 10 stron, nakład niemniej potężny.

Nadomiar trwogi przybiegły posły z Piątki, zarzuciwszy nam w bólu rozpaczy, że „to" jest właściwie ich pomysł, nie nasz, bo właśnie Piątka wydaje pismo. Tytułu nigdy się nie dowiedziałem i nigdy się nie dowiem, pismo to zmarło przed przyjściem na świat. Świetny przyczynek do tematu „Rozwój piśmiennictwa harcerskiego w Bydgoszczy".

Dziwnym zbiegiem okoliczności „Czuwaj" wyszedł prawie współmiernie z naszem pismem, trzy dni wcześniej. Odetchnąłem. Format i pismo przypominały „Biszkopta" z 1922 roku i było przeznaczone dla drużyny.

Na tydzień życie Kółka przeniosło się z izby do „redakcji", która zajmowała dwa pokoiki (nie na stałe), szumnie nazwane „administracją i redakcją" — jeden, a drugi „Drukarnią". Na czas druku zwykli mieszkańcy pokojów (siostra ze mną) zostali wytrąceni ze zwykłego trybu życia i musieli bezwarunkowo poddać się „sprawie".

Na drzwiach widniał ogromny napis „Redakcja „Naszym Szlakiem", taki bowiem tytuł przypadł nam z wielu innych do serca.

Tydzień pracy, gorączkowej i zapalnej, wytworzył w drużynie nowy rodzaj arystokracji, która przez pewien czas toczyła walkę o przewagę z arystokracją mistrzów Ping-ponga, zgnębiwszy ją bezapelacyjnie.

Była to bowiem najzupełniej wyjątkowa arystokracja, której punktem honoru było przejechanie wałkiem jaknajwiększej ilości arkuszy.

Ostatnie dni przed tajemniczemi narodzinami panował od południa w obszernych lo-

kalach redakcji harmider, zgiełk, gwar i hałas. Już o trzeciej wszyscy Wielcy Wtajemniczeni byli na placu boju, ująwszy wałki, puszki z farbą, czy rylec do rycia wosku.

A oto władcy terytorjum, na którem odbywało się misterjum. W „redakcji" łóżko znikło zupełnie pod niezmiernie ważnemi aktami i papierami, które również z braku miejsca walały się nonszalancko pod stołem. Na stole z pod stosu „woskówek" wynurzała się maszyna, na której wyprawiał harce redaktor, korzystający na czysto, gdyż wytrenował się w sprawności „pisarza". Nad uchem jego huczał „dyktator" Skoczny Szpaś, który nawet sprawozdanie z założenia sekcji ping-pongowej dyktował z wstrząsaniem głowy i patosem.

Poza tem redakcja była pracownią rysowników, zamienionych w rytowników. To Pujka i Krówka. Z powodu szczupłości gmachu najczęściej ryli na oknie, czasem także klęcząc na podłodze. Gdy rytownikiem był Pujka, zachodziło pewne niebezpieczeństwo: ilekroć redaktor odstąpił od maszyny, Pujka ocierał chusteczką czoło i palce i czemprędzej pukał na maszynie. Napewno tylko dla tego zdarzały się czasem błędy ortograficzne.



Sztandar I Drużyny Rzplitej.

O ile w redakcji brzmiało robotą delikatną i artystyczną, o tyle w zecerni dudniało od nadmiaru energji i od pracy. Dyrygował mistrz magji zecerskiej — Olek; dorównywał mu jedynie niemy Włodzio, zazwyczaj siedzący, podniósłszy się bowiem, narażał się na zetknięcie z lampą.

Mistrzowie doprowadzili pracę do szczytu techniki. Jedna strona biegła naraz błyskawicznie przez 10 rąk. Bobo podawał arkusze, Kapa wsadzał pod groźną machinę, Olek gniótł ją z zatwardziałą siłą wałkiem, Włodzio podchwytywał poznaczony literami egzemplarz, a Witek kładł na „wysuszarni" na łóżku.

Rząd ten zajmował połowę zecerni. Redakcja nasza była też zaopatrzona w najnowsze urządzenia, uprzyjemniające pracę. Bobo był specjalistą od nakręcania gramofonu (prócz tego otwierania okien). Pamiętam, że najmilszą wtedy była: „seminola" (zamiast niej śpiewaliśmy: „Naszym Szlakiem"). Były to rzeczy tak „taktowne", że robota mimowoli szła z ogromną szybkością, to też czasem jeden ze zmęczonych skrycie nastawiał flegmatyczne co do taktu wyjątki z oper.

Na środku pokoju stał kosz redaktorsko-zecerski, ugnieciony wprost woskówkami, próbkami, których część wypływała na okoliczną podłogę. Do akcesorjów, które wszędzie i zawsze zawadzały, należała butelka benzyny, wciąż przewracająca się, i farba, która nas wszystkich smarowała.

Gdy zabrakło sił gramofonowi, zastępował go Kapa, śpiewając z łezką rozczulenia najnowsze „przeboje". Łącznikiem jakby redakcji i zecerni (tak odległe od siebie) był Witek, który raz pisał artykuły sportowe (naturalnie) na oknie, o ile nie było zajęte, czasem pukał na maszynie, czasem nakręcał gramofon, czasem pełnił rolę Olka.

W takiem tempie i na takiem tle przechodziły chwile drukowania naszego pisemka. Ale oto wszedł ktoś niewtajemniczony, jakiś nędzny laik. Wszyscy jak jeden harcerz zmieniali swój ton, nastrajając go arystokratycznem lekceważeniem dla przybyłego. Zaczynała się natychmiast fachowa rozmowa.

— Bobo, podaj mi farbę 1435 i benzynę nr. 1.

—Włodek, przejrzyj, czy mamy jeszcze w administracji woskówki białkowane

— Krówko, daj rylec, nie zrobiłeś wykrzyknika.

—Do której podziałki dociągnąć stronę? Siatka japońska jest za wąska.

— Podawać dublety, układajcie tylko grzbietami.

Na wszelkie zapytania gościa odpowiadano przeważnie milczeniem tajemniczem, tak, że wkońcu wychodził upokorzony doszczętnie, że nie ma szczęścia urodzić się w takiem gronie i jęcząc:

— Białkówka nr. 1435, rylec z podziałką...

W sobotę uczyniło się piekło. Olek dostał napadu furji, wałek rozbijał wąskie ramy Greifa. Ostatnie strony. Naprężenie potężniało, przestano nawet nakręcać gramofon. „Tuman roboty nad łbami się wznosi". Jeszcze półgodziny. Włodzio zastąpił upadłego Olka i miarowo a szybko wyciskał egzemplarze.

Gdy nastąpiła ostatnia strona (z karykaturami naszych druhen z Jedynki), cała redakcja zgrupowała się nad płachtami. Pokój był

szczelnie wypchany. Mruczano i wzdychano, liczono w cichości.

Kiedy Olek zobaczył, że się kończy, zerwał się, postanowiwszy sam zakończyć dzieło. Jeszcze dziesięć... siedem... pięć...

— Niech żyje „Naszym Szlakiem“! — zawołano w redakcji i rzucono się na szyję „zecerom“. Zaraz znalazły się druhny, zaraz rozsprzedano kilka numerów i z okrzykiem tryumfu wybiegli wszyscy na miasto.

I zanim otrzymaliśmy pozwolenie dyrektora gimnazjum na drukowanie, ze 150 numerów—40 rozbiegło się po mieście, głosząc światu harcerskiemu narodziny „Naszym Szlakiem“.

Czwartak.

Pierwszy występ.

(wyj. z kroniki Czwórki Bydgoskiej: listopadowe powstanie)

Zdawało się nam, że „publika“ nie dopisze na tę uroczystość. Pierwsze przedsięwzięcie... Wszyscy spoglądają z trwogą dokoła, oczekując jakichś dziwnych znaków. I rzeczywiście — było czego się obawiać. Przedewszystkiem Lange (organista z profesji szkolnej) przyszedł bez nut. Następnie nie było widać naszego solisty i skrzypka. Wreszcie (na dobitek) gdy publiczność zaczęła już napływać, brakło Andrzeja z biletami. Mimo jednak tych złowróżbnych znaków, wszystko poszło szybkiem tempem: posłano po nuty, znalazł się skrzypek, solista, a co najważniejsze Andrzej z biletami.

Nad wszelkie spodziewanie publiczność zaczęła płynąć takiemi masami, że mimo rzetelnej obsługi (czterech mężów przy kasie, dwóch przy drzwiach i trzech do asysty) można było zaledwie nadążyć.



Nagroda przechodnia b. Prezydenta Rzplitej St. Wojciechowskiego dla I D-ny Rzplitej.

Wreszcie uroczystość rozpoczął Skoczny Szpasio, zaintonowawszy coś smętnego na fortepianie. Po nim zabrał głos Pujka. Odczyt, który miał wygłosić, zapewne dużo go kosztował, bo biedak sapał, pocił się, ocierając co chwila nos chusteczką. Wreszcie nabrawszy pełnego „gazu”, a przedewszystkiem wprawy, wyjęzyczał się prędko, za co też go spotkała zasłużona nagroda w postaci hucznych oklasków. Pujka tak był tem zdumiony, że zamiast ukłonić się publiczności, wodził tylko mętnym wzrokiem dokoła.

Po odczycie znowu trochę muzyki, po niej zaś Skoczny Szpaś wygłosił „Bogurodzica”. Wszyscy podziwiali w skupieniu zimną krew i swobodę oratora. Bo chytry Szpaś w miejsca, gdzie słowa powylatywały mu z pamięci, wpychał własne, tak że był i „wilk syty i koza cała”.

Po deklamacji nastąpiły tak rzęsiste oklaski, że nasz tryumfator nie wytrzymał i...

Ale tymczasem wystąpił Witek z nieśmiertelnym „Pogrzebem kapitana“, zaczynającym się od słów: „Wzięliśmy biedną“ i t.d. Po pierwszej zwrotce nastąpiła druga, którą deklamujący zaczął wygłaszać tak smętnym głosem, ze aż litość człowieka brała. Witek wznosił się na palce, wodził wkoło łzawem okiem i ciągnął:

„Lecz nie! Szpitalne łoże i koszula.“

Tutaj jakiś źle tłumiony śmiech zagrzechotał w drugim rzędzie krzeseł. Witek spojrzał i struchlał. Ujrzał wpatrzone w siebie bazyliszkowe ślipki druhen z tajemniczym uśmiechem.

Biednego Witka chwyciło coś za gardło; krzesła z druhnami, fortepian i oświetlenie elektryczne, skrzypce i basy zawirowały mu w powietrzu, a on stał chwilę, chwiejąc się, ze zgorszeniem w oczach i dławił wybuch gniewu. Ale wtem przyszło mu do głowy:

Co jest z trzecią zwrotką? Jak się zaczyna? Jasny gwint! (popularne wyrażenie Tadzika) „Szpitalne łoże i koszula“... Nie! Aha... „Ale Ty, Boże, który z wysokości, strzały swe rzucasz.”

Nareszcie wiersz skończony... Zabrzmiały oklaski. Pospólstwo ryczało „bis“ a biedny deklamator zeszedł chwiejnym krokiem z tej rzymskiej areny.

Szpasia tak podnieciło powodzenie, że postanowił dać nadprogram. W tym celu rozpoczął „Redutę Ordona“. Powoli mówił, głosem cichym, pełnym rezygnacji i melancholji; wtem począł nabierać rozmachu, twarz mu rozbrzmiewała, policzki wydęły się głos gromy sypał, a oczy błyskawice. Wreszcie doszedł do miejsca:

„Gdzież jest car, co na rzezie tłumy te wyprawia?“ i twarz Szpasia wykrzywiła się szyderczo. Wskazującym palcem, jakgdyby przybił publiczność do krzeseł i jęczał i urągał:

„Czy dzieli ich odwagę? Czy pierś sam nadstawia? O nie!“

Tutaj zabrakło mu tchu, wciągnął więc przez zęby haust świszczącego powietrza i grzmiał dalej. Biedni słuchacze potnieli, wstrzymywali 'dech w piersiach, tak ich przygnębiła gestykulacja Szpasia.

Wtem głośniejszy okrzyk rozległ się wśród ciszy.

„Ura! Ura! Patrz!“

Tu wszyscy skierowali wzrok mimowoli za palcem „reduciarza“. A on był jak Jowisz groźny, lub Mars bóg wojny. Nagle twarz jego z czerwonej stała się trupio blada, a głos chrapliwy rzęził:

„Upuścił ją i upadł nim dobiją, skona“.

Słuchacze (nabrani na kawał) zobaczyli, jak Szpaś, strzepnąwszy ramionami, zachwiał się... na ustach jego widniała piana. Zebrani przymknęli oczy oczekując czegoś strasznego.

„Tu blask, chwila cicho i huk jak sto gromów“

Deklamację zakończył słowami, w których brzmiała groźba

„Bóg wysadzi tę ziemię — jak on swą redutę“ i ukłoniwszy się zszedł z estrady jak zwycięzca.

(„A tymczasem zabrzmiało tysiące oklasków, tysiące powinszowań i wiwatnych wrzasków“)

Wszyscy wychodzili zadowoleni z obchodu powstania listopadowego, zwłaszcza drużynowy, który marzył o obchodzie, a między innymi także prezes Kółka Literackiego drużyny, który widział już na jawie maszynę do drukowania „Naszym Szlakiem“.

EUGENJUSZ SZPAKOWSKI („Skoczny“)

Pod morską latarnią.

(Wspomnienia z kolonji Czwórki Bydgoskiej na Helu 1924).

Jak w latach poprzednich—tak i w roku 1924 lipcowe nadbałtyckie słońce uśmiechnęło się serdecznie, ujrzawszy tuż przy latarni „Jastarnia“ białe, dobrze sobie znane namiociki Czwórki.

Pobudka...

W mgnieniu oka pustoszeją namioty, przy Kręgu Rady ustawiają się zastępy i w skupieniu wielkiem wszyscy odmawiają ranną modlitwę.

Lecz już za chwilę krąg rozpryskuje się na wszystkie strony i rozpoczyna się wyścig ku plaży, aby jaknajbardziej wykorzystać czas przeznaczony na mycie się i popluskać się przynajmniej u brzegu.

Potem znowu gęsiego a wesoło kierują się wszyscy do kuchni, gdzie „Ojciec“ w nieodzownym i zawsze poplamionym kitlu dyrygował wydawaniem śniadania. Po śniadaniu każdy zabierał się do roboty. Ozdabiano więc namioty i ich bezpośrednie sąsiedztwo, upiększano Krąg Rady, stawiano bramę zakopiańską u wejścia do obozu, zakładano linję telefoniczną, prowadzącą do kuchni i latarnika, radjo, albo też po prostu wybierano się do lasu, gdzie było tyle smacznych jagód.

A najuczciwiej pracowało tych kilku, co wiedzeni chęcią zdobycia sprawności kucharza, zaciągnęli się pod komendę „Ojca“. Ten tymczasem przekonany święcie, że kandydaci na kucharzy sami sobie radę dać powinni, zaraz po śniadaniu zabierał gruby jakiś zeszyt, nożem kuchennym zacinał ołówek i nie zdejmując nawet kitla, ruszał w kierunku zatoki. Tam obierał sobie jakieś zaciszne miejsce i godzinami całemi pisał wiersze, najczęściej sonety.

Strawiwszy przedpołudnie całe na pisaniu wierszy, Ojciec przed samym dopiero obiadem przychodził badać potrawy i do każdej dodawał liścia bobkowego, jakby to tylko decydowało o smaku. Dziwne to zamiłowanie do tej przyprawy stało się przyczyną doniosłej niezwykle uroczystości, bo oto wysłani po chleb do Pucka — przywieźliśmy odpowiednią ilość liści i, sporządziwszy przy pomocy igieł i nici potrójną koronę, wręczyliśmy ją z należytą pompą „grochówkodawcy“ - poecie.

Ale cóż się tymczasem dzieje z resztą gromadki? Zbliża się skwarne południe, na plażę ze wszystkich stron schodzą się strojne w prześcieradlane burnusy postacie.

To czas kąpieli...

A potem plaża. Tu dopiero ujawnia się niezwykle wojowniczy temperament harcerskiej gromady: podzielono się na 2 części. Jedni pozostali w burnusach — to Beduini, drudzy

zrzucili prześcieradła i tylko w kąpielowych spodenkach, lśniąc opalonem na bronzowo ciałem rzucają się do ataku—to Murzyni.

Zawrzała walka—straszna walka na dzidy, które stanowiły gałęzie wikliny, naniesione przez Wisłę w czasie wiosennej powodzi i rzucone na brzegi. Oręż więc był tani i łatwy do zdobycia. Pozycje—łachy i wzgórza piaszczyste przechodziły z rąk do rąk, zdobywane i bronione bohatersko aż do chwili, gdy Ojciec, westchnąwszy głęboko nad prozą codziennego życia, nakazywał trąbić na obiad, a sam zabierał się do sprawiedliwego wydawania porcyj drużynie, nadciągającej z kolonijną piosenką na ustach:

Posłuchajcie wy, cywile,
Jak to na kolonjach mile,
Niema chwili wolnej,
Niedzieli spokojnej.
Wpółdoszóstej już pobudka,
A do ósmej chwila krótka,
Ganiaj na śniadanie,
Albo nie dostanie-sz.
Ojciec drze się gromkim głosem:
Dzisiaj będzie gularz z sosem.
A na drugie kasza—
Biednaż dola nasza...

Po obiedzie chwila odpoczynku i znów prace harcerskie, przeplatane „gadaniem" instruktorów czy zastępowych, notabene rzadko nudnem.

I tak do wieczora.

Po wieczerzy słońce zazwyczaj ustępowało miejsca księżycowi, a ten, dyskretnie wychylając rożek z za chmury, wsłuchiwał się i wpatrywał w to, co działo się przy, dużem ognisku Czwórki.

Aż pewnego wieczora, słysząc wzruszone głosy, zawodzące:

I póki kropla jest w Bałtyku,
Polskiem morzem będziesz Ty...

zrozumiał, że Czwórka już żegna się z ukochanem morzem i cicho jej odszepnął pożegnalnem „Czuwaj"

. . . .

Na Helu pod morską latarnią,
Gdzie Czwórka obóz ma,
Harcerze do pracy się garną,
Śmiech i wesołość trwa.
Nas nie zastraszą słoty,
Ni słońca silny żar,
Dla nas nie domy, ale namioty
Urok mają i czar.

Wspomnienia ze zlotu harcerskiego w Birmingham w Anglji w lipcu 1913.

W lipcu 1913 angielskie organizacje harcerskie święciły pięciolecie swego istnienia międzynarodowym zlotem harcerskim w Birmingham. Na zaproszenie komitetu organizacyjnego młodziutkie harcerstwo polskie postanowiło wziąć udział w zlocie. Rada Naczelna



Drużyna Polska na zlocie w Birmingham.

zdobyła niezbędne środki i wystawiła drużynę reprezentacyjną, złożoną z 52 harcerzy, 4 oficerów harcerskich, stanowiących komendę drużyny, oraz 7 instruktorów, w skład drużyny niewchodzących. Inicjatorem oraz organizatorem wyprawy, a później sekretarzem drużyny reprezentacyjnej był ś. p. Dh Andrzej Małkowski—właściwy twórca ruchu harcerskiego w Polsce—drużynowym i kierownikiem wyprawy został mianowany Dh Affanasowicz Michał—przybocznymi Dhowie Monasterski i Nowak. W Londynie przyłączył się Dh Strumiłło Tadeusz.

29 czerwca 1913 Drużyna opuściła Kraków. Przebywszy Niemcy i Belgję i przepłynąwszy Kanał La Manche — 2 lipca stanęła na ziemi angielskiej i w tym samym dniu zajęła namioty w obozie w Birmingham.

Jeśli kto ciekaw pobytu naszej Drużyny w olbrzymim obozie w Birmingham, tego odsyłam do dzieła ś. p. Dha Małkowskiego p. t. „Jak skauci pracują“. Sam postaram się streścić najważniejsze momenty zlotu i naszego w nim udziału w kilku zdaniach — niektóre zwroty czerpiąc dosłownie ze wspomnianego dzieła ś. p. Dha Małkowskiego.

Przegląd wszystkich zgromadzonych harcerzy przez Skauta Naczelnego (Gen. Baden-Powell'a) odbył się właściwie jednego dnia — jednak zlot trwał tydzień. W obozie zgromadziło się ponad 30,000 harcerzy różnych narodowości. Polska drużyna zajęła przeznaczone dla niej namioty w sąsiedztwie Francuzów, Hiszpanów i Chińczyków.

Wszystkie dni pobytu w obozie były nader pracowite i urozmaicone, i tak:

3 lipca zwiedziliśmy wystawę prac harcerskich;

4 lipca patrzyliśmy na ćwiczenia skautów morskich;

5 lipca braliśmy udział w Wielkim przeglądzie;

6 lipca rano „raport“ przed Skautem Naczelnym, po południu przyjęcie w parafji katolickiej;

7 lipca na wystawie i przy warsztatach stolarskich;

8 lipca rano wizyta w szkole angielskiej— po południu zwiedzenie fabryki broni;

9 lipca o świcie — wyjazd z Birmingham.

Drużyna polska szybko zaprzyjaźniła się z sąsiadami. Co wieczór odbywaliśmy gawędy obozowe, połączone ze śpiewami i tańcami. Gawędy te skupiały koło nas całe masy skautów innych narodowości: w rezultacie kilkakrotnie proszono nas o tańce i śpiewy na estradzie teatru harcerskiego.

Drużyna nasza odbijała się od innych przedewszystkiem dorodnością chłopców. Wzorowa karność i zachowanie bez zarzutu zyskało nam wiele sympatji u obcych — czemu niejednokrotnie dawano wyraz w różny sposób. Najciekawszem było może to, że jedna ze szkół angielskich w Oxhill Rood w Birmingham, jako dowód szczególny sympatji, prosiła nas o zwiedzenie swoich zakładów. Kiedyśmy przyjechali do ostatniej stacji tramwajowej, oczekiwały nas dziewczęta w bieli, z muzyką szkolną, ustawione w dwuszeregu; otoczyły nas i tak



Raport Drużyny Polskiej przed gen. Baden-Powellem. Zlot w Birmingham.

odprowadziły do szkoły. Przyjęcie w szkole było nader serdeczne i pozostawiło niezapomniane wrażenie.

Najważniejszem wydarzeniem w czasie pobytu w obozie był raport przed Skautem Naczelnym. W raporcie tym ś. p. Dh Małkowski składał krótkie sprawozdanie o młodocianym ruchu harcerskim w Polsce. W odpowiedzi na raport była długa i serdeczna mowa Generała Baden - Powell'a, przyczem Generał kilkakrotnie użył wyrazu „Polska", nie zaś „Zabór austrjacki". Generał zasalutował Orła polskiego, powiewającego na sztandarze Drużyny, i przypiął sobie orzełka polskiego—którego już nie zdejmował tego dnia.

Ważnym wydarzeniem były prace naszej drużyny w warsztatach harcerskich, w wyniku których Drużyna otrzymała dyplom pierwszej klasy.

9 lipca stanęliśmy w Londynie, w którym pozostaliśmy przez trzy dni. Zwiedziliśmy parlament, obie katedry, giełdę, muzea etc.

Pierwszy wieczór spędziliśmy w Towarzystwie Polskiem, dokąd zjechało się z całego Londynu wielu Polaków. Następnego dnia podejmował nas podwieczorkiem w hotelu „Victoria" p. Br. Bouffał.

W sobotę 12 lipca ze stacji Victorja wyjechaliśmy z Londynu, a już 14-go, jadąc przez Holandję, Niemcy i Poznań, stanęliśmy w Krakowie, gdzie Drużyna się rozwiązała.

Inż. M. Affanasowicz.

b. Komendant Drużyny Reprezentacyjnej.

Bielsko, 15/V 29.

Nowy sposób zarobkowania zastępów harcerskich.

Drużynom harcerskim bardzo często brakuje środków pieniężnych dla osiągnięcia zamierzonych celów i projektów. Drużyny mogłyby zdobyć takie fundusze we wszystkich tych miastach, gdzie znajduje się kilka zakładów fotograficznych, w następujący sposób: każdy fotograf zawodowy wylewa co tydzień do zlewu kilka litrów zużytego i niepotrzebnego mu utrwalacza, który zawiera zawsze dość dużo srebra chemicznie związanego. Srebro to przechodzi do utrwalacza z klisz, z filmów i z papierów fotograficznych. Gdy utrwalacz zostanie nasycony srebrem, staje się on już bezwartościowy dla fotografa, a jednak cenny dla każdego, kto potrafiłby odciągnąć z tego płynu rozpuszczone w nim metaliczne srebro. Przy umiejętnej organizacji pracy drużyny harcerskie mogłyby stworzyć w każdem mieście maleńką „kopalnię srebra". Sposoby na to były podawane w różnych naszych czasopismach. Ostatnio w miesięczniku „Światłocień" w numerze lipcowym 1924 roku p. Teofil Orłowski w artykule pod tytułem: „W sprawie zbierania odpadków srebrowych przy pracy fotograficznej" podaje następujący prosty sposób uzyskania srebra ze starego utrwalacza. „Zebrany utrwalacz zlać do naczynia o pojemności 10 — 20 litrów, ewentualnie do małej beczki lub kamiennego garnka, na drewnianych pałeczkach pozawieszać szerokie taśmy z blachy cynkowej i pozostawić na 14 dni. Już po jednym dniu spostrzegamy na blasze cynkowej osad srebra w postaci szarego pyłu, opadającego z czasem na dno naczynia. Srebro bardzo rozdrobnione ma kolor szary. Proces wydzielania się srebra polega na własności chemicznej cynku wypierania srebra jako metalu szlachetnego z roztworów jego soli, i jak nam wiadomo z chemji, dzieje się to w stosunku chemicznie równoważnym, czyli że mniej więcej 1 gram cynku metalicznego wydziela przeszło trzy gramy (3,27 gr.) srebra. Tym sposobem prawie cała ilość srebra oddzieli się w ciągu 14 dni."



IV Bydgoska w Tatrach.

„Dalsze badanie utrwalacza, czy zawiera jeszcze srebro, można najlepiej wykonać przy pomocy blaszki miedzianej, oczyszczonej szmerglowym papierem. O ile utrwalacz zawiera dużo srebra, jak w pierwszym dniu wytrącania, już w pierwszej minucie blacha miedziana po-

kryje się bardzo widoczną, cienką warstwą białego srebra, a w ciągu dalszych minut, gdy większa ilość srebra wydzieli się, warstwą szarą. Kiedy całkowita ilość srebra się wytrąciła, należy wyjąć blachy cynkowe z naczynia, zmyć lub spłukać osad srebra osiadły na nich do utrwalacza i naczynie pozostawić w spokoju. Wtenczas osad srebra osadzi się na dnie naczynia, a górne warstwy utrwalacza można zlać ostrożnie, dolne zaś przelać przez sączek z bibuły, aby zatrzymać na niej lekko lotny pył srebra.

„Jak powyżej wspomniałem, do badania utrwalacza na zawartość srebra użyć można miedzi, której można użyć też do wytrącania srebra. W miejsce taśm cynkowych zawieszamy tylko taśmy z miedzi, atoli proces ten przebiega znacznie powolniej i ze względu na wysoką cenę miedzi powiększa wydatki".

„W wypadku wytrącania srebra cynkiem możemy przyspieszyć proces, gdy blachę cynkową owiniemy kilku zwojami drutu miedzianego. W żadnym razie nie powinien zrażać wydatek na cynk; jest on bowiem jednorazowy na dłuższy czas i, ponieważ, jak już wyżej wspomniałem, 1 gram cynku zużywa się na wytrącenie 3 gramów srebra, nie powinien wobec ceny otrzymanego srebra odgrywać żadnej roli".

Praktyczne te wskazówki wyjęte zostały z wyżej wymienionego artykułu, gdzie można znaleźć bliższe szczegóły. Znana fabryka papierów fotograficznych „Mimoza" w wydanym przez siebie podręczniku z 1924 r. pod tytułem „Mimoza — Handbuch" na stronicy 200-ej gorąco nawołuje do zbierania resztek srebra z utrwalacza i podaje taką samą technikę postępowania chemicznego.



Modlitwa ranna. Obóz IV Bydgoskiej.

Pracę tę łatwiej przeprowadzić drużynom harcerskim, niż prywatnemu przedsiębiorcy, ponieważ młodzież harcerska może otrzymać bezpłatnie zużyty utrwalacz, i zorganizować zbiórkę tego utrwalacza w naczyniach kilku litrowych przez swych członków również bezpłatnie. Należy niezwłocznie porozumieć się ze wszystkiemi zakładami fotograficznemi i rentgenowskiemi w swoim obwodzie i zapewnić sobie stały bezpłatny odbiór zużytego utrwalacza w regularnych odstępach tygodniowych lub nieco większych. W dużych miastach należałoby uważać, aby poszczególne drużyny nie przeszkadzały sobie, ubiegając się o monopol odbioru utrwalacza. Do przedsiębiorstwa tego nie potrzeba większego wkładu kapitału. Potrzebne są dwie beczki, pół metra kwadratowego blachy cynkowej, rurka gumowa do syfonowego zlewania płynu, kilka słojów 4 litrowych do przenoszenia utrwalacza, jedna probówka i wąski pasek blachy miedzianej. Wszystko to nie trudno będzie zdobyć i umieścić w izbie harcerskiej. Zawsze jest najtrudniejszy początek; później otrzymywanie srebra odbywać się będzie samoczynnie, bez nowych wkładów kapitału; potrzebny będzie tylko lekki stały dozór „kopalni srebra". Otrzymany osad można suszyć raz na kilka miesięcy i przesyłać w celu spieniężenia pod jednym z niżej podanych adresów.

1. Fabryka płyt i papierów fotograficznych „Alfa" w Bydgoszczy ul. Garbary 2/3.

2. Fabryka płyt fotograficznych „Stafra" w Swarzędzu pod Poznaniem.

3. Wytwórnia azotanu srebra Fromana, Warszawa, ul. Ogrodowa Nr. 52.

4. Inż. Słomnicki, Warszawa, Leszno 73 Wytwórnia azotanu srebra.

5. Elenband, Warszawa, ul. Nowolipie 20.

6. Fabryka chemiczna K. Zawadzki, Warszawa.

Niektórzy złotnicy podejmują się przetopić wysuszony pył srebrny i wydostać z niego chemicznie czyste srebro. Przeróbka taka opłaca się dopiero wtedy, gdy zbierzemy kilka kg. osadu srebra *).

*) Po wypłukaniu wodą i wysuszeniu osadu srebrnego można samemu w laboratorjum chemicznem, szkolnem pod okapem w tygielku porcelanowym na silnym palniku gazowym nie kopcącym wyżarzyć osad srebra, przetopić go i otrzymać srebro metaliczne z domieszką cynku. Jak to przeprowadzić i jak otrzymać chemicznie czyste srebro — bliższych wskazówek udzieli każdy zaufany złotnik lub jubiler miejscowy. Jeżeli Wam uda się praktycznie przeprowadzić to, nie omieszkajcie podzielić się swem doświadczeniem z czytelnikami naszego pisma. Zacznijcie jednak osadzanie

Pod trzecim i czwartym adresem odsyłają fabrykanci i wytwórcy luster odpadki metalicznego srebra otrzymywane w postaci czarnego osadu ze zużytego nadmiaru azotanu srebra **).

Z powyższymi adresatami i ew. z innemi fabrykami przetworów srebrowych należy listownie porozumieć się zawczasu co do późniejszej dostawy srebra metalicznego. Fabryki oceniają wartość dostarczonego towaru dopiero po wykonaniu analizy. Przerabiając znaczniejszą ilość utrwalacza, ***) drużyna harcerska może zarobić dla siebie rocznie kilkaset złotych (nawet do 1000).

Tow. Szkoły Ludowej w Małopolsce przed wojną organizowało zbiórkę skórek pomarańczowych. Niemcy zbierali obcinki cygar. Ze zbiórki tych drobnych i zdawałoby się bezwartościowych przedmiotów otrzymywano dość znaczne sumy na cele kulturalno-oświatowe. Czyż wobec tego godzi się patrzeć bezczynnie jak marnuje się bezpowrotnie dla nas szlachetny metal, jakiem jest srebro?

Nie należy zwlekać z rozpoczęciem tej pracy, bo w przeciwnym razie zapoczątkuje ją kto inny!

Jedna drużyna już rozpoczęła z zapałem tę pracę!

---

srebra już przed wakacjami, a na czas wakacji poruczcie tę pracę tym druhom, którzy pozostaną latem w mieście. Ze względu na interes Waszej drużyny nie pozwólcie, aby fotografowie zawodowi i amatorzy wylewali rozczyn srebra wraz z utrwalaczem do zlewu!

**) Wytwórcy luster wylewają duże ilości zużytego rozczynu azotanu srebra, nie sprawdzając tego płynu, czy zawiera on pozostałości srebra. Należałoby blachą miedzianą sprawdzić, czy ten płyn nadaje się do przeróbki podobnie jak utrwalacz.

***) Jeżeli utrwalacz jest bardzo kwaśny, co sprawdzić można papierem lakmusowym, należałoby poczynić spostrzeżenia, czy przez zobojętnienie go ługiem lub sodą nie otrzymalibyśmy czystszego osadu t. j. mniej zawierającego soli cynkowych powstających z powodu działania kwasów na cynk.

Plotki z szerokiego świata.

Straszny człowiek ten redaktor „Harcerza"! Ledwie człowiek powrócił z dalekiej podróży i niestrzepnąwszy nawet kurzu... chce się rzucić stęskniony w objęcia Głównej Kwatery, a tu zaraz surowy rozkaz: — a proszę w tej chwili pisać artykuł do „Harcerza!".

— Hm, trudno! Rozkaz — rozkazem... napisać — napiszę... ale o czem?!

Wszystkie bowiem wrażenia w głowie jak groch z kapustą: Brazylja z Maderą, ocean z dżunglą, małpy z bananami...

— Ale każą ci: pisz! więc zaczynam... od końca.

Ledwiem w powrotnej drodze zawitał do Londynu, a już w Poselstwie Polskiem dowiaduję się: na Jamboree przyjedzie aż 500 harcerzy! — Ładny interes, to oni się tam w Polsce widać dobrze do roboty wzięli — myślę sobie i jadę do Głównej Kwatery Skautów, która się pod opieką króla blisko Buckingham Palace (pałac królewski) umieściła.

Tam w Międzynarodowem Biurze uprzejmie mnie przyjęli, paszport mój skautowy ostemplowali, a sir Frederick F. Corballis, komisarz skautowy pokazał mi na planie obozu, gdzie będą nasi harcerze, dodając, że wszystkich skautów spodziewają się 50,000.

Boże mocny, toż jak to wszystko ryknie razem międzynarodowy hymn skautowy, to Liverpool gotów się rozlecieć w gruzy, jak Jeryho, nie przymierzając!

Zacząłem od końca, cofam się zatem w kierunku Ameryki Południowej.

W Hiszpanji, w Vigo zasięgnąłem również języka... na Jamboree wybiera się drużyna, dopiero właśnie skończył się próbny obóz.

Portugalja, a właściwie jej stolica, Lizbona miała teraz wielkie święto skautowe: gościła Naczelnego Skauta Świata — gen. Baden-Powell'a.

Lizbona, to stare i ciekawe miasto, amfiteatralnie rozłożone na wzgórzach u samego ujścia Tagu; który tworzy szeroką zatokę. Od portu wiją się kręte, wąskie, malownicze uliczki aż do centrum miasta, poprzerzynanego szerokiemi prostemi alejami.

Skauci lizbońscy przyjmowali Dziadzia owacyjnie, od portu przyjechał do miasta wśród szpalerów skautów, wiwatujących na jego cześć i klaszczących w dłonie.

Ilu Portugalczyków przyjedzie na Jamboree, narazie nie wiem. Coś mowili o pięćdziesięciu.

A teraz z kolei: Brazylja.

O tej mogę wszystko dokładnie opowiedzieć. W powrotnej drodze do staruszki Europy byłem parę dni w Rio de Janeiro i oczywiście, odwiedziłem skautowych przyjaciół, którzy mnie w czasie mego pierwszego pobytu, tak uprzejmie i gościnnie przyjmowali.

Porucznik Carlos Proença Gomes, skautowy komisarz międzynarodowy objaśnia mnie:

— Dotychczas na żadnem Jamboree nie byliśmy jako drużyna, jedynie paru instruktorów pojechało w delegacji. Teraz jedzie czterdziestu skautów i kilkunastu instruktorów.

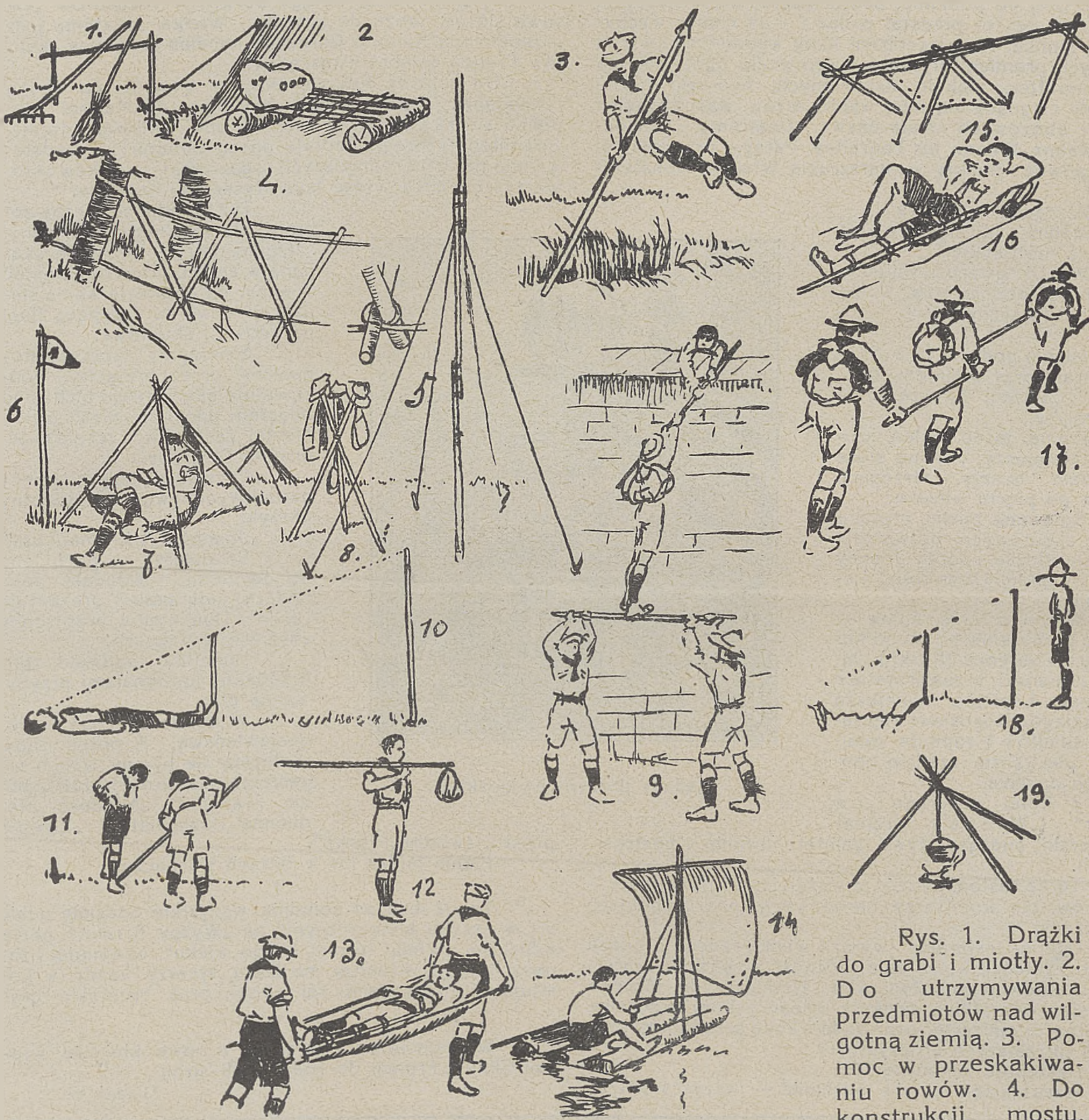
Drużyna składa się z 4 zastępów — dwa złożone z chłopców, mieszkających w Rio de Janeiro, reszta to chłopcy z różnych stron Brazylji. Byłem na zbiórce zastępów rioskich. Ani słowa! doskonale wyglądają, jest między nimi i Polak Lech Gawryszewski.

Skauci w Rio mają swój dom skautowy w stylu maurytańskim — Pavilhao Maurisco w najładniejszej części miasta na Botafogo nad zatoką.

Dostali go w prezencie... ładny prezent, prawda?

Stefan Łoś hm.

Do czego służy laska harcerska?



Rys. 1. Drążki do grabi i miotły. 2. Do utrzymywania przedmiotów nad wilgotną ziemią. 3. Pomoc w przeskakiwaniu rowów. 4. Do konstrukcji mostu. 5. Maszt, drąg do zrzucania przedmiotów wysoko umieszczonych. 6. Patrolówka zastępu. 7. Leżak. 8. Wieszak. 9. Pomoc w przesadzaniu parkanów i płotów. 10. Mierzenie wysokości. 11. Odległości. 12. Waga. 13. Nosze 14. Do konstrukcji żagla. 15. Do konstrukcji namiotu. 16. Laska jako łupki. 17. Do utrzymywania łączności w marszach nocnych; do tworzenia szpalerów. 18. Do mierzenia szerokości rowu. 19. Prowizoryczna kuchnia.

Święto Orleańskie skautów francuskich.

Do miasta Orleanu, które wydało na świat Joannę d'Arc, zjeżdżały się ze wszystkich stron Francji liczne oddziały skautowe. Nawet ulewny deszcz nie powstrzymał od gorącego zamiaru złożenia hołdu swej patronce. Wśród karnych szeregów widniały oznaki trzech odrębnych organizacyj skautowych. Zgodnie ocierały się tam mundury członków „Eclaireurs de France", „Eclaireurs Unionistes" i przedstawicieli „Skautes de France".

Było to w dniu 30 kwietnia.

O 5-ej po południu, akurat zebrali się wszyscy na bulwarach, deszcz przestał padać i z za chmur wychyliło się słońce. Na przestrzeni kilku kilometrów, wśród złocistych promieni błyszczał jeden wielki obóz. 300 lub 400 namiotów, pięknie ustawionych, tworzyło liczne kwartały ciągnące się hen, wśród drzew. Każda z takich dzielnic obozowych nosiła nazwę: Domrémy, Vancouleurs, Reims, Chinon, les Tourelles, Patay,.. przypominające główne punkty w marszrucie Wielkiej Bohaterki Francji.

Porządek wzorowy.

Małemi uliczkami pędzą rowery... motocykle...

Wśród gwaru i śmiechu czuć nutę podniecenia, wielki nastrój świąteczny.

*

Minęła godzina 19-a. Skauci zebrani przy wielkiem, obozowem ognisku, tworzą 15 — 20 okręgów.

Płonie jasno ogień, rzucając tajemniczy cień na stare zmurszałe baszty, strzegące miasta od pięciu wieków.

Śpiewane pieśni, płynące z serc skautowych, odtwarzają doniosłe chwile epopei Joanny d'Arc, Wielkiej Obywatelki Lotaryngji.

Wtem milknie śpiew — ogólne poruszenie, bo oto wchodzi Mgr. Courcoux (Kurku), biskup orleański, w towarzystwie kardynała Lépicier, nuncjusza papieskiego. Błogosławi klęczących skautów i zajmuje miejsce w pierwszym rzędzie obozowego ogniska.

Z kolei odegrano „La Tour" („Wieża"), dramat bohaterski, budzący żywe zainteresowanie i beztroski śmiech.

Teraz nastąpiła część poważniejsza uroczystości — przemówienia komisarzy narodowych, poszczególnych organizacyj.

Guérin-Desjardins wyraził wielką radość z okazji tej uroczystości, która dała możność wykazania braterstwa skautów trzech Związków. Komisarz de Macédo w imieniu wszystkich dziękuje orleańczykom za gościnę świetną organizację, oraz podaje kilka szczegółów programu jutrzejszych uroczystości.

Następuje zakończenie.

Wzruszająca minuta milczenia — wszyscy patrzą w dogasające płomienie, wczuwając się w miarowe silne tętno skroni — jedno uczucie, jedna myśl wspólna ulatuje gdzieś... hen... ku niebu.

Modlitwa.

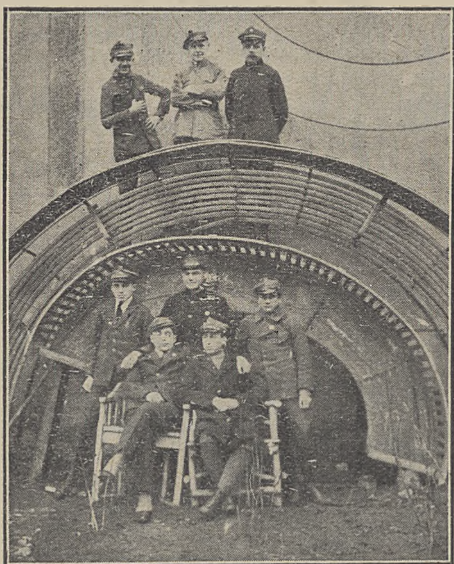
Hejnał wieczorny trębaczy kończy piękny i wielki dzień.

*

6-a rano — pobudka!

W chwil kilka, wstęga barwnych mundurów posuwa się od obozu do katedry. Wielka świątynia jest przepełniona. Kanonik Cornette, kapelan generalny skautów Francji celebruje mszę św.

Od godziny 8-ej do 9-ej — powrót do obozu i śniadanie. O 10-ej punktualnie plac „du Martroi" zapełnia się skautami. Z sześciu ulic wpływają tłumy. Ścieśnione szeregi otaczają posąg Bohaterki. Przedstawiciele najróżnorodniejszych organizacyj, związków i stowarzyszeń chcą oddać hołd Rycerzowi-Kobiecie.



Rada IV drużyny bydgoskiej.

Tuż u podnóża rzeźby zebrały się sztandary. Ze wzruszeniem patrzał każdy na skąpaną w słońcu granitową postać Joanny, na grzbiecie konia siedzącej — wkoło trzepocą flagi narodowe i skautowe.

Starożytny Hymn, zaintonowany przez orkiestry, podchwytują głosy wszystkich i nad miastem unosi się pieśń uwielbienia, zachwytu i czci dla Orleańskiej Dziewicy.

Poczem ze trzech tysięcy gardeł wydobywa się trzykrotny okrzyk:

„Joanna d'Ark—Montżua"!

Sztandary — pochylone aż do ziemi — składają hołd, podczas gdy skauci prezentują „broń". Tłum niemy, wzruszony chyli się w pokorze.

Nuncjusz papieski, poprzedzony kardynałami przybywa na plac.

W milczącej ciszy — błogosławieństwo. A potem znów rozlegają się hymny trzech organizacyj skautowych „Idźl Skaucie Francji..." „Młodość płomienna i szlachetna" „Zawsze prosto, światło Francji".

Pienia budzą łzy w oczach słuchaczy.

*

Tegoż dnia, po południu, wszystkie oddziały udały się w „szyku historycznym" na „Wyspy Arrault", gdzie odbył się „Wielki turniej XV-go wieku", obejmujący zapasy dwóch oddziałów, po 20-tu rycerzy każdy, w kostjumach i uzbrojeniu tej epoki, oraz rycerskie gry.

*

Wzbogaciwszy swe serca w nowe klejnoty, wracali Skauci Francji do rodzinnych stron.

Leszek G.

PRENUMERATA WYNOSI: Rocznie — 16 zł., kwartalnie — 4 zł. wraz z przesyłką, Prenumeratę wpłacać należy na konto P. K. O. Nr. 10.020 albo przekazem pocztowym do administracji „HARCERZA" w Warszawie, ul. Traugutta Nr. 2, Numer pojedyńczy—40 gr. Redakcja Al. Ujazdowskie 37 m. 12. Tel. 101-20. Redaktor urzęduje codziennie od 18 — 19. Sekretarz Redakcji urzęduje codziennie od 12 — 13.

Wydawca: *Naczelnictwo Związku Harcerstwa Polskiego.* Redaktor: *E. Ryszkowski.*

Klisze wykonano w Zakładach „Bluszczu" Krak. Przedm. 99. Druk. Społeczna pl. Grzybowski 3-5. Tel. 205-80